ROK III. Nr. 10 (110). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 8 marca 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



JASNOWŁOSY SŁOWIK SZWEDZKO-POLSKI, ELNA GISTEDT, ZWIASTUJE ODRODZENIE OPERETKI WARSZAWSKIEJ. (fot. Brzozowski.)

Partja królewska



Grupa polityków hiszpańskich z adm. Aznarem, mark. Hoyos, hr. Romanonaesem i p. de la Cierva na czele.

Słynny pianista francuski, Cortot, koncertował w Warszawie.

Pomimo, iż pisać o Hiszpanji jest przedsięwzięciem nieco ryzykownem, zwłaszcza na przestrzeni 7-u dni, z których każdy może jeszcze przynieść nową zmianę — odważymy się podkreślić talent, z jakim król rozegrał nader trudną partję.

Rozmawiał z tym i owym — z każdym, kto tylko chciał przedstawić mu kombinację, mniej lub bardziej możliwą do przyjęcia i każdego — *c'est le mot* — nabijał w butelkę, a przedewszystkiem zajadłych republikanów i skrajną lewicę, do której delegował Sanchez Guerra.

— Proszę nie zapomnieć odwiedzić p. Lerroux (leadera republikanów), a jeżeli nie zdoła go pan odnaleźć, szef bezpieczeństwa poda właściwy adres...

Nie pozbawione komizmu peregrynacje Sancheza po więzieniach, z polecenia króla, pragnącego „skupić w przyszłym gabinecie malkontentów" i brawurowe rozgrywanie przez monarchę partji napozór beznadziejnej — obudziły w kołach monarchistów i wśród szerokich rzesz ludności przypływ sympatji dla Alfonsa XIII-go.

Przyjazd królowej do stolicy przechylił ostatecznie szale.

Osoba dzielnego premjera, admirała Aznara, jest nielada atutem w tej partji.

Chaplin w Londynie



Charlie Chaplin przybył do Londynu, witany conajmniej jak monarcha przez tłumy.

Charlie Chaplin przyjeżdża do Londynu!... Błaha ta napozór wiadomość poruszyła wszystkich mieszkańców zamglonej i flegmatycznej stolicy. Tysiączne tłumy cisnęły się przed dworcem, setki ramion walczyły o zaszczyt niesienia genjalnego aktora w tryumfalnym pochodzie, dziesiątki tysięcy girls błagają gwiazdora ekranu o autograf.

Londyn przeżywa istną rewolucję.

Witając swego znakomitego rodaka, londyńczycy komentują z ożywieniem niespodziankę, którą im zademonstruje — głośny film *„City lights"*, nad którym pracował całe dwa lata.

O filmie tym krążą najrozmaitsze wersje. Podziwiano go już w Ameryce i podkreślano (z niemałą satysfakcją), iż Chaplin przeciwstawił się prądowi dźwiękowców, deklarując się jeszcze raz po stronie filmu-pantominy.

Przedsięwzięcie Chaplina zostało uwieńczone pomyślnym skutkiem — i „City Lights", podobnie jak wszystkie filmy wielkiego artysty uznano za arcydzieło sentymentu i komizmu — za tryumf *chaplinady.*

Dodać należy, gwoli informacji i pocieszenia wielbicieli Chaplina, iż „City Lights" ukaże się na naszych ekranach jeszcze w bieżącym sezonie.

Jeszcze o bezrobociu

Klęska bezrobocia, będąca przedmiotem powszechnej troski całej ludzkości, najbardziej dotknęła idealnie napozór zorganizowane i opływające w dostatki Stany Zjednoczone. Ilu jest tam biedaków — niewiadomo. Socjaliści mówią o cyfrze 9-u miljonów. Może i przesada. Faktem jest jednak, iż na ulice miast amerykańskich wyległy tłumy głodnych, *żebrząc* o kęs chleba, gdyż w Ameryce nie wprowadzono praktykowanego w Europie systemu ubezpieczeń.

Jakże paradoksalnie wygląda zestawienie, które niedawno opublikowano o wyższości urządzeń gospodarczych w Stanach Zjednoczonych. Statystykę obliczono w godzinach pracy i ku chwale standaryzacji wytwórczości. Okazuje się, że jeśli we Francji 1 litr mleka kosztuje 22 minuty pracy, to w Stanach Zjednoczonych 13 minut, pół kilo mięsa 2 g. 40 m., a za Oceanem 35 minut, samochód we Francji 18 miesięcy, a tam 18 tygodni. Doskonale! *A we Francji jednak liczymy tylko kilkadziesiąt tysięcy bezrobotnych, w Ameryce zaś kilka miljonów.*



Projekt pomnika Zjednoczenia Ziem Polski, który ma stanąć w Gdyni (autor inż. J. Łukasik).



Projekt pomnika Zjednoczenia Ziem Polski, który ma stanąć w Gdyni (autor inż. Starzyński).

Wystawa polska w Paryżu

O polskiej wystawie w sali Jeu de Paume, powiedziano już tyle złego, że chciałabym o niej powiedzieć coś dobrego, choćby w imię instynktu równowagi. Zresztą mam wrażenie, że zasługuje na to dobre, że wszelkie usiłowania skąpania pamiątek polskiej przeszłości w atmosferze paryskiej nieśmiertelności, muszą wyjść na dobre, i pod względem międzynarodowej propagandy i pod względem poczucia własnej wartości na rynku świata. Bo doprawdy, bez fałszywego wstydu i fanfaronady, przyznać trzeba, że i na paryskiej arenie prezentujemy się niezgorzej.

Gmach, w którym zagrzmiał pierwszy akord preludjum, do symfonji Wielkiej Rewolucji Francuskiej, zdaje się najodpowiedniejszem miejscem dla wystawy, która jest ilustrowaną historją stulecia polskiej martyrologji i której hasło, wypisane wielkiemi, karmazynowemi literami, głosi: — Za wolność naszą i waszą! — Można się, oczywiście, z tem i owem pospierać, można powiedzieć, że za wiele jest tu Stryjeńskiej i „Ładu", a nie znaleziono miejsca dla tak wielu innych, np. dla Matejki. No, ale, zresztą, organizatorzy mogą być stronni w najlepszej mierze. Lepiej jest mieć jakiś zdecydowany gust, może cokolwiek zwężony, niż nie mieć żadnego. I niewątpliwie lepiej jest robić, niż krytykować.

Strona propagandowa wystawy, przeprowadzona jest nader konsekwentnie. Karta Polski, podzielonej przez rozbiory, zaznaczona krwawą pręgą, wykonana przez prof. Jastrzębowskiego, tłomaczy krzywdę dziejową lepiej, niż cykl odczytów. Doskonałe wykresy statystyki Kurmana, niby łopatą kładą w głowę cudzoziemców realne korzyści traktatów handlowych z Polską. Piękne fotografje Bułhaka z malowniczych zabytków Polski, przekonywują, jak nieprzekupni świadkowie.

Wielka postać Mickiewicza, reprodukcja z pomnika Bourdelle'a, wygląda tu znacznie bardziej imponująco, niż oryginał, ustawiony na chybotliwej kolumence na mizernym placyku de l'Alma. Przysięga „kosynjerów" Chełmońskiego, „Raszyn" i „Orlęta" Kossaka, konwencjonalny patos wszelkich „Polonji" i „Lithuanji" Grottgera, beznadziejnie opatrzone w kraju, tutaj odzyskują swą właściwą wymowę, opowiadają, to, co Europa powinna o nas wiedzieć, to, co jej przypominać należy.

Najciekawsze dla zwiedzających wystawę polaków, są niewątpliwie estampe'y francuskie, opowiadające o śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, i o tem, jak wierny towarzysz broni, przynosi tę wieść hjobową, księżnej Poniatowskiej (?!), która go przyjmuje z dzieckiem na ręku. Scena z mityczną księżną powtarza się w dziesięciu conajmniej różnych wersjach. Księżna występuje czasem we wschodnim turbanie, czasem w konfederatce, a najczęściej w czaku ułańskim, z czaplą kitą pośrodku. Nieśmiertelność w Paryżu przybiera nieraz formy naiwnie groteskowe, dlatego może jest tak żywa. Bardzo ciekawe dla nas są karykatury francuskie i angielskie na wojska rosyjskie. „Wojsko najbardziej dyscyplinowane na świecie", głosi podpis pod rysunkiem, wyobrażającym kozaków, bitych knutem. „Nowoczesny Paganini" — karykatura angielska, Aleksander I, z nogą, opartą na trupie Polski, dyryguje zastrachaną orkiestrą narodów. Wreszcie: kozacy, u siebie znęcający się nad bezbronnymi, a za granicą rozrzucający garściami złoto, lub tańczący przed gapiami kozaka.



Rycina Granville'a z wystawy polskiej w Paryżu p. t. „W Warszawie panuje spokój".



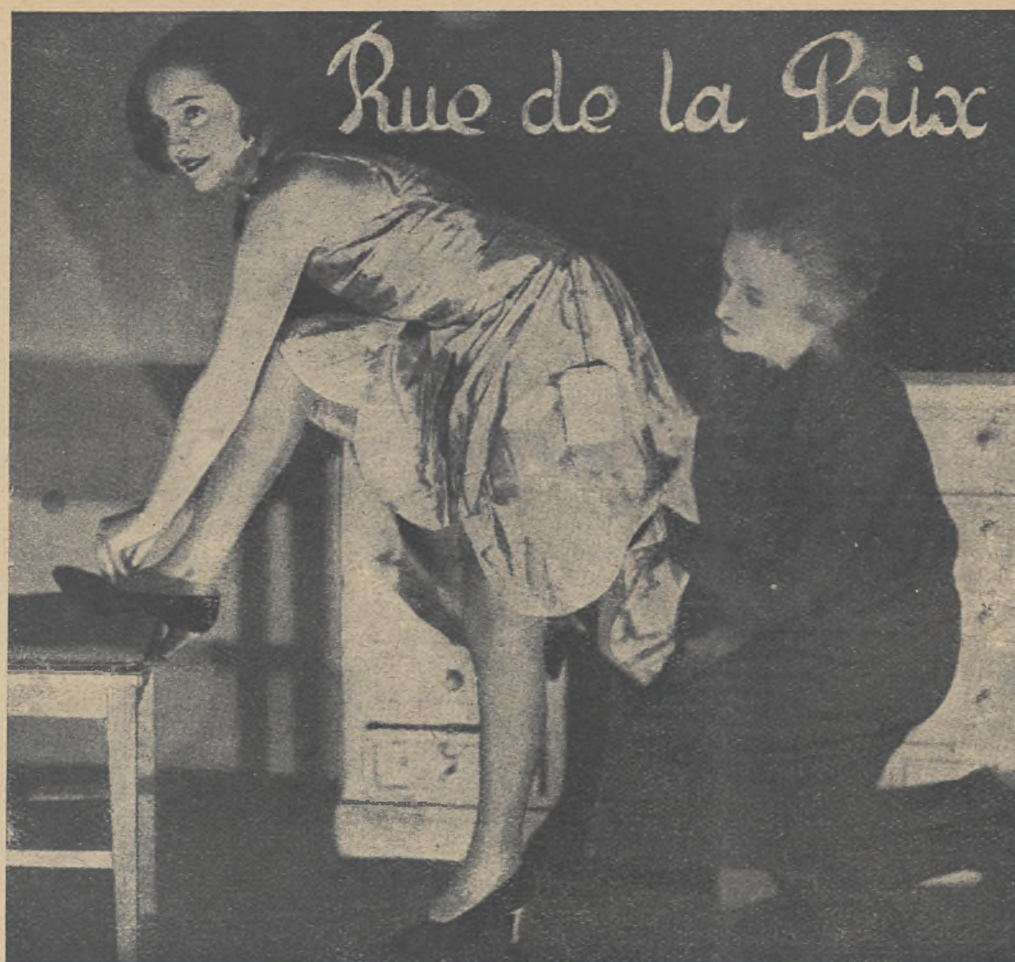
„Kozacy u siebie i zagranicą" (Rycina współczesna)

Zapasy zboża na świecie

W chwili ogólnej depresji gospodarczej i licznych obrad, toczących się między innemi nad porozumieniem międzypaństwowem na temat uregulowania obrotu ziemiopłodami — nie od rzeczy będzie stwierdzić, iż ilość magazynowanego w swoim czasie zboża na wypadek klęski nieurodzaju, stale wzrasta z powodu braku konsumentów. Oto cyfry (w tysiącach litrów), wykazujące dane o zapasach na 1 grudnia:

r. 1925	3.345.550
„ 1926	3.903.770
„ 1927	4.505.930
„ 1928	5.967.910
„ 1929	6.933.810
„ 1930	7.032.000

I znów stoimy wobec paradoksu — bo im lepszy będzie urodzaj, tem większe odczujemy trudności.



Ostatni retusz modelu.

Ulica, której nazwa pachnie jak perfumy... Może pochodzi to, zresztą, stąd, że perfumy nazywają się tak, jak ulica. Mniejsza o to. Kiedy kobieta, kobieta elegancka i strojna mówi: — Paryż — to myśli z pewnością: — Rue de la Paix. Olbrzymia kolumna na placu Vendôme, zdaje się być strzałką, podobną do tych dobroczynnych znaków, umożliwiających zabłąkanym w podziemiach paryskich tłumom, dopadnięcie właściwego „métro".

La Colonne Vendôme, wzorowana na rzymskiej kolumnie Trajana, pomnik cezarowo-napoleońskich zwycięstw, mierzy prosto w wylot Rue de la Paix, wskazuje kierunek. Tkwiący na szczycie, posąg bohatera w rzymskiej todze i laurowym wieńcu, dobrodusznie pomachuje poza siebie figurką skrzydlatej Nike, jakgdyby powiadał: — Gdzie tam! Tam śpieszcie: Rue de la Paix!

Na razie niema jeszcze na kolumnie podobnego świetlnego napisu, ale przypuszczam, że będzie, niedługo. Wieża Eiffel porysowana jest od góry do dołu napisami, które ze złośliwością właściwą rzeczom martwym, czasem nie chcą się zapalić. Do pomników historycznych jeszcze się nie dobrano, ale to przyjdzie. Świat się amerykanizuje, reklama wdrapuje się coraz wyżej, wyżej... Jeżeli, la Colonne Vendôme nie została dotąd w tak właściwy sposób zużytkowana, zasługa to jedynie dyskretnego umiaru w reklamie, cechującego wielkie firmy, osiadłe na Rue de la Paix. Tam nikt nie potrzebuje amerykańskiego hałasu i jazz'u, tam każde nazwisko mówi samo za siebie.

Któżby przypuszczał, że można *patrzeć* na perfumy, a przecie.., a przecie można zatracić świadomość miejsca i czasu, wpatrując się w przepysznie stonowane, barwne kryształy flakonów, szlifowanych, jak klejnoty. Takie to piękne, że w końcu człowiek się zadawalnia samem zachwyconem zagapieniem i przestaje się zastanawiać nad tem, jak to pachnie.

Stokroć przykrzejsze, niż klejnoty flakonów, są klejnoty prawdziwe na Rue de la Paix. Tak jest: prawdziwe klejnoty. Myśmy w Polsce już potrosze przestali wierzyć w możliwość istnienia podobnie cennych zabytków zamożnej przeszłości świata — na Rue de Paix istnieją one jeszcze w olbrzymiej ilości i nieprawdopodobnie wspaniałe. Sam Cortier zapełnia aż sześć olbrzymich witryn klejnotami bez ceny. To znaczy, owszem, z ceną, ceną, przewyższającą mierny stan posiadania przeciętnego polskiego śmiertelnika. Perły czarne i różowe, brylanty słonecznie złociste, rzeźbione szmaragdy i rubiny; czasem głęboki, winny fjolet ametystu lub chłodny błękit akwamaryny, niebywały okazałością rozmiarów, usprawiedliwiających swą obecność w towarzystwie tak wybrednie dostojnem. Z górskich kryształów, gałązek korala, jaspisu, onyksu i innych kamieni pół szlachetnych, porobiono kosztowne, fantastyczne cacka. Na jaspisowej skale, kryształowy lewek, oparty o koralowe drzewko, trzyma w paszczy tarczę zegara ze złotej emalji, wysadzaną drobnemi brylancikami. Nie, nie chcę nawet myśleć o tem, co takie, nawet niеładne cudactwo może kosztować?!... Za to ogarnia mnie podziw, że tak rzadko, stosunkowo, zdarzają się kradzieże i włamania. Tyle, tyle skondensowanego w niewielkich kamykach bogactwa, wystawionego bezwstydnie na widok głodnej, bezrobocznej ulicy! Oj, dobrze muszą czuwać sympatyczni granatowi policjanci na skrzyżowaniach ulic, tacy wersalsko uprzejmi dla pań i pozornie pochłonięci jedynie regulowaniem ulicznego ruchu. A sztab tajnej policji, strzegący we dnie i w nocy bezpieczeństwa klejnotów, stanowi zapewne nader znaczną pozycję w firmowym budżecie.

Tyle o klejnotach. A o sukniach! Ach, niestety! Cóż za rozczarownie czeka te naiwne, co się wybrały na Rue de la Paix w nadziei wy-

Sam „wielki" pan Worth demonstruje swe nowe kreacje.

patrzenia i skopjowania jakiegoś szczególnie efektownego modelu. *Modeli się nie wystawia* — taka jest zasada, stosowana z całą bezwzględnością. U „Martial et Armand" parę szalików, u „Doucet'a" dziecinna koszulka, u „Paquin'a" lamparcie skóry, a u Worth'a czarny wachlarz z piór strusich i baterja minjaturowych flakoników, szafirowych i szmaragdowych, zawierających firmowe perfumy. O ile uda się zajrzeć do wnętrza (nie do wnętrza flakonika perfum, a sklepu Worth'a), aaa, to zupełnie co innego. Witają zawodowo uprzejme uśmiechy sprzedawczyń z dolnego salonu, ubranych szmaragdowo i chabrowo, jak flakoniki perfum i pachnących, jak one.

W olśniewających szatach, suną majestatycznie rytmicznym krokiem żywe manekiny. Wszystkie są standaryzowanie, przepisowo piękne i niewiarygodnie wysmukłe. Aby tej smukłości o ćwierć milimetra nie poszerzyć, aby w niczem nie skazić wymarzonej linji, nie noszą pod prezentowaną przez siebie toaletą, nic, absolutnie nic, nawet pończoch i podwiązek. Precyzyjnie wypedikurowane stopki, o paznokciach lakierowanych na rubinowo, przybandażowano rzemykiem do eleganckich sandałków na wysokich obcasach. Sute, powłóczyste godety modnych sukien wieczorowych, maskują nóżki. Czasem, w ruchu odsłaniają się wśród fałd zgrabnej tkaniny rubinowe paznokietki i znów się kryją przy następnym kroku. Modne szaty balowe są tak posągowe, układ fałd i draperji tak wyraźnie dąży do naśladownictwa antycznych rzeźb, że te bose stopy w sandałach zdają się być logicznem dopełnieniem wieczorowej toalety. Kto wie? Może to moda jutra?

Ruchem, którego by im pozazdrościła niejedna lady, żywe manekiny zsuwają z ramion brokatowe sorties i, ukazują się niemal nagie, ciasno obrysowane falą koronki czy jedwabiu. Rozmiar dekoltów przekracza wszystko, co dotychczas na ten temat widziano. Dwa trójkąty tkaniny, spięte przez środek pleców; nic nad niemi, i pod niemi też nic. Suknia zaczyna się gdzieś w okolicach kości ogonowej.

Tylko bardzo proszę, bez niewczesnych żartów! Nastrój panuje tu podniosły, uroczyście dostojny, niemal modlitewny. Wszyscy podziwiają w milczącym zachwycie i spostrzeżenia zamieniają szeptem. Pamięć założyciela firmy, który był nadwornym dostawcą i toaletowym dyktatorem cesarzowej Eugenji, jest wciąż żywa i jakby wszechobecna. Z wszystkich paryskich grands faiseur'ów. Worth cieszy się najarystokratyczniejszą klijentelą. O, właśnie do srebrnowłosego gentleman'a, który niedostrzegalnemi drgnieniami brwi kieruje pochodem manekinów, podeszła ciemno ubrana vendeuse'a i komunikuje mu na ucho, że Jej Książęca Wysokość, jest z czegoś niezadowolona. Gentleman pośpiesza wyjaśnić nieporozumienie, ale czyni to z godnością, w myśl przepisu wielkiego Boileau: — Hatez vous lentement et sans perdre courage. — Żywe manekiny są piękne, sprzedawczynie poprawne i niepozorne. A te, dla których się celebruje całe to misterjum mody? Ach, bardzo brzydkie, niestety! Brzydkie i nieeleganckie, jakgdyby wcale nie należały do stałej klijenteli Worth'a. I jak się tu dziwić, że księżna pani czuje się niezadowolona! Czyż to nie szczyt arogancji, żeby lada modelka śmiała być o tyle piękniejszą od Jej Książęcej Mości!

Przerwa obiadowa. Tylnem wejściem, wysypują wesoło na ulicę stada żywych manekinów. Czarne płaszczyki, czarne króliki, policzki umalowane impresjonistycznie. Luksusowe samochody ruszają bezszelestnie, uwożąc dostojną klijentelę. Manekiny pędzą galopem na obiad do „Bouillon Choiseul", gdzie za pięć franków dostaną piramidę gotowanych muszli i „un quart de vin". Trzeba się śpieszyć. Trzeba się śpieszyć z obiadem i... ze wszystkiem. Żywot modnego manekina jest krótki, jak życie motyla. Potem można zostać ekspedjentką, o ile się jest sprytną i pracowitą. A jeżeli się jest leniwą i jeszcze sprytniejszą, to się powraca własnym samochodem, jako klijentka.

Jadwiga Kiewnarska.



Dn. 25 ub. m. odbył się w Radzie Miejskiej wieczór polsko-jugosłowiański, pod przewodnictwem posła jugosłowiańskiego, p. Lazarevitcha, pod nazwą „Żywy Almanach Polsko-Jugosłowiański". W części literackiej wzięli udział pp. Nałkowska, prof. Ossendowski, prof. Benesic, w części koncertowej pp. Wermińska, Rychterówna, Stokowska, pp. Heintze, Urstein.



Dn. 25 ub. m. odbyło się pod przewodnictwem prezesa red. Wł. L. Everta publiczne posiedzenie Tow. Polsko-Estońskiego, poświęcone uczczeniu 13-ej rocznicy ogłoszenia niepodległości Estonji. W prezydjum zasiedli: pp. poseł Estonji min. Toffer, Roszczycki, wiceprezes zarządu T-wa Polsko-Estońskiego, prof. dr. Szymański, przewodniczący Evert, dyr. Puławski i in.

MAURYCY DEKOBRA.

Z teatru mandarynów

Z CYKLU: „WĘDRÓWKI PO KALIFORNJI".

Grand Avenue.

Przed oświetlonym a giorno teatrem mandarynów ciśnie się kilkudziesięciu Chińczyków. Jedni w kapeluszach, inni w cyklistówkach — stoją w ogonku przed kasą. Bilety kosztuje po dolarze.

Sala pomieścić może około tysiąca widzów. Wśród jednolitego tłumu szarych marynarek — kilka dam w jasnych toaletach. Jedną z lóż zajęła piękność chińska. Dumna jest z pysznego płaszcza, przybranego niebieskiemi lisami i z cieniutkich pończoszek jedwabnych. Żuje gumę i od czasu do czasu przegląda się w lusterku, poprawiając krucze loki i przypudrowując twarzyczkę o pigmencie herbacianej róży.

Po lewej stronie sceny zasiada orkiestra — bez marynarek; trzech muzykantów przygrywa na flecie, na bębnie i na talerzach, czwarty wyciąga przedziwne jęki z dwustrunnych skrzypiec, t. zw. *hu-czin'u*, piąty wreszcie wybija takt na wydrążonym bloku drewnianym, który nazywają *pongtsu.*



Szmuglerze narkotyków uciekają się do najrozmaitszych trick'ów. Oto np. transport opjum, przesłany w bibljach



W walce z międzynarodowymi szmuglerzami opjum największe zasługi przypisać należy niejakiemu p. Blanco, który, po odbyciu dłuższej praktyki oficjalnej, otworzył niedawno prywatne biuro w Genewie.

Pan Fu-Wang z San Francisco, gospodarz tajnej palarni opjum.



Głośną sensację w swoim czasie wywołało wykrycie w siedzibie konsula chińskiego w San Francisco olbrzymiego składu narkotyków. W związku z tą sprawą cały personel konsulatu został aresztowany.

Aktorzy grają bez przerwy jednoaktówki. Spektakl rozpoczyna się o godz. 7.30 i kończy po północy.

Dekoracje są nader uproszczone. Tło naszkicowane jest na płótnie — na jednem podziwiamy landszafcik, na drugiem pałac, na trzeciem pokój. Podczas, gdy akcja rozgrywa się na pierwszym planie, inscypient wchodzi, nie krępując się, na scenę i zmienia dekorację oraz rozstawienie mebli. Oto, naprzykład, aktorka z kokieterją kryguje się tuż przed widzami, a tam, za jej plecami, przenoszą z miejsca na miejsce fotele, zmieniają tło i wystawiają stół, pokryty draperją i rozkładają na nim z niemałą ostentacją dwa miecze, któremi w chwilę później rywale, ubiegający się o wdzięki zalotnicy, stoczą śmiertelny bój.

Trzeba umieć nadawać mimice artystów odpowiednią interpretację. Bo podczas, gdy u nas, jeśli chodzi o przywołanie kogoś gestem, czynimy ruch ręką ku sobie — to artysta chiński wręcz odwrotnie. Należy również wiedzieć, że w razie, gdy aktor trzyma w ręce bat, to znaczy, że jedzie konno, a jeśli, wchodząc na scenę, podnosi nogę — to znaczy, że wstępuje do domu.

Zdziwiony udziałem kobiet w występach — dowiedziałem się od swego cicerone, że zakaz ten został wprowadzony w r. 1795-m przez mądrego cesarza, Czien-Lunga i że reguła uległa zmianie w r. 1911-m.

— A czy sztuka, którą obecnie podziwiamy, jest nowością?

— Skądże! Grają już ją od czterech stuleci. Lecz widzom podoba się niezmiennie. Proszę przysłuchać się muzyce — wypełnia ona przerwy w djalogach, przebojowe rzeczy zaś wystawione są bez akompanjamentu. Acz większość tematów obraca się w ramach przeżyć wojaków, dworzan i dam wysoko urodzonych, to jednak niektóre z nich poświęcone bywają proletarjatowi. Wszystko to zależy od

kursu wiary. Kiedy aktorzy wyznają naukę Konfucjusza — to wówczas i rzeczy swe poświęcają zagadnieniu o szacunku i przywiązaniu dla rodziców, miłości czystej, wierności sługi dla pana. Skoro tylko przerzucą się na buddyzm, to naprzód wysuwają śmieszność zakonnic, rozpustę i lenistwo mnichów. Jeśli znów drogowskazem ich będzie Tao, wyjdą na scenę półbożki, czarownice i zwierzęta — legenda w czystej formie.

— Ale my tu gadamy sobie, a nowa akcja się rozpoczyna... O co też chodzi teraz aktorowi, który, jak się wydaje, przemawia do publiczności?

— Wygłasza prolog, w którym zawiera się streszczenie całej sztuki i objaśnienie idei przewodniej. Zaraz skończy i zaśpiewa dwa kupleciki. Na Zachodzie aktorka roześmiałaby się — a tu wolno to czynić tylko mężczyźnie, kobieta zaś może śmiać się nie tyle w kułak, ile w rękaw, podobnie jak żak, ukrywający się z paleniem papierosów. Jeżeli chodzi natomiast o płacz — wszyscy ryczą demonstracyjnie i wycierają sobie nawzajem oczy. Aby wyrazić gniew, oburzenie — walą piętami po ziemi i biją się po piersi, a gdy chodzi o strach — wyginają się na bok i zamierają w takiej pozie.

— A dlaczego ten aktor, który wchodzi teraz na scenę, uzbrojony jest w czarny bat, podczas gdy w poprzednim akcie trzaskał z białego?

— Słuszna uwaga. Chodzi tu o to, że w pierwszej części dosiadał siwego konia, a teraz ma karego wierzchowca. Nic prostszego — nieprawdaż?...

*

Sierżant Manion prowadzi mnie za kulisy. Pięciu srogich wojowników studjuje dodatek sportowy jakiegoś dziennika. Football zajął miejsce Tao. Na kuferku siedzi primadonna, wymalowana jak laleczka. Zajada piękne jabłko kalifornijskie, którego czerwień odbiją się od półtonów jej bladych policzków.

Przewodnik ciągnie mnie do jakiegoś staruszka, wyglądającego może na emerytowanego reżysera. Szeptem zamieniają ze sobą kilka słów, poczem zostaję przedstawiony panu Sing-Tczen, który, jak się okazuje, świetnie włada angielskim.

— Trudno wymarzyć lepszego cicerone — oświadcza sierżant. — Przyjaciel mój zaprowadzi pana na miejsce zbrodni. Włos nie spadnie z głowy.

Wychodzimy z teatru.

Spoglądam na zegarek — wpół do drugiej.

Na ulicy ruch zamarł.

Z okien jakiegoś domostwa — może z lokalu klubowego — rozbrzmiewa smętna melodja w minorowych tonach.

Towarzysz mój prowadzi dalej — a kroków jego nie słychać.

Skręcamy w boczną uliczkę.

Dziwne zapachy zieją z piwnic.

Zatrzymujemy się przed sklepikiem. Drzwi są uchylone. Sing-Tczen wchodzi do środka, gdzie zastajemy jakiegoś chińczyka, pogrążonego w lekturze. Nie zwraca na nas najmniejszej uwagi, bo i poco, kiedy chińczycy, jak zauważyłem, mogą się widzieć wzajemnie, nie patrząc na siebie. Pan Sing-Tczen prowadzi mnie dalej, do pokoiku, w którym leżą stosy przeróżnych przedmiotów.

Wszystko tu pokryte jest grubą warstwą kurzu. Biały kot spogląda na nas szklanym wzrokiem. Zatrzymujemy się przed opancerzonemi drzwiami, za któremi ukryte są schody, nie budzące zaufania, gdyż prowadzą do drugich drzwi, okutych i zaopatrzonych w zakratowane okienko. Ale to nic — schodzę odważnie do słabo oświetlonej piwnicy, w której dyszkantowy głos Sing-Tczena brzmi jeszcze dziwniej, niż zwykle.

— Oto jesteśmy na miejscu dramatu, który się rozegrał w r. 1918-m. Ponura ta historja nie budziła wówczas zainteresowania wobec ciekawych wiadomości o kończącej się wojnie. Bohaterami tej rzeczy byli dwaj mężczyźni — jeden biały i jeden chińczyk oraz dwie białe kobiety. Chińczyk — nazwiemy go Fu-Wang — był gospodarzem palarni opjum, ukrytej w tem podziemiu. Można było zaopatrywać się u niego w różne narkotyki, pochodzące, oczywiście, ze szmuglu. Pewnego dnia zaczepił pana Fu-Wanga na ulicy jakiś kucharz:

— Mój pan chciałby znaleźć palarnię... Chce spróbować opjum. No co — idzie?

Umówili się na dzień następny. Nazajutrz wieczorem kucharz przyszedł ze swym białym panem, którego Fu-Wang przyprowadził do tego miejsca. Na górze urzędował wówczas drogista — spólnik Fu-Wanga. Amerykanin, pan S., położył się na macie i zakurzył fajeczkę. Fu-Wang spoglądał na niego z rosnącem zainteresowaniem, gdyż spostrzegł odrazu, iż Amerykanin pali obojętnie, bez zbytniego entuzjazmu. I rzeczywiście, po małej chwili pan S. odłożył fajeczkę i zwrócił się do Fu-Wanga z następującą propozycją:

— Nie chce mi się palić, panie gospodarzu, gdyż nie poto, zresztą, przyszedłem do pana. Chodzi mi o coś innego: zgóry zapłacę za trzy miesiące za jedną z moich znajomych, która będzie tu stałym gościem. Pięćset dolarów, wystarczy?...

— Mało — tysiąc!

Zgodził się bez targu i umówili się, że nazajutrz pan S. sprowadzi swoją znajomą do sztucznego Edenu pana Fu-Wanga. *(D. c. n.)*

W szale bredni

Wiadomą jest rzeczą, iż w chwilach ciężkiej depresji moralnej, ludzie okazują coraz większe skłonności do oddawania się mistycyzmowi. Któżby jednak pomyślał, iż Anglicy ubiegać się będą w tej dziedzinie o palmę pierwszeństwa.

Oto donoszą nam z Windsoru, iż w starożytnej rezydencji królewskiej, w której rzekomo od wieków grasują duchy królowej Elżbiety i Karola I, służąca pałacowa zemdlała ze strachu na widok dostojnej pary duchów, przechadzającej się po komnatach. Relacja ta zgodna jest z tradycją o ukazaniu się księżnie Beatryce Karola I-go, niosącego pod pachą własną głowę (sic!).

O podobnych zjawach opowiadają sobie mieszkańcy Glomis Castle, którym spokoju nie daje duch hrabiego Beardie.

Donoszą również, iż tragiczna postać Anny Boylen straszy ludzi w Hampton Court. Zwabiony tą wiadomością, jeden ze znanych okultystów zakradł się w nocy do pałacu i już miał nawiązać rozmowę z Anną, której postać wyszła z ram obrazu (sic!), gdy straż pałacowa, przekonana, iż amator uduchowionych konwersacyj jest poprostu opryszkiem, odstawiła go do najbliższego posterunku policji.

To znane duchy przynajmniej. Mówią jednak, iż oprócz nich zaroiło się w Anglji od cudacznych zjaw, których pochodzenie jest najzupełniej oderkane. Jest to czasem postać konia, błąkającego się po drogach i polach, innym razem oko, unoszące się nad furtą cmentarza, lub ręka, smagająca po twarzy pierwszego lepszego przechodnia.

Przedziwne bredniel

Czemu należy przypisać podobne nastroje?

Nie chcąc być złośliwym, lecz zastanawiając się nad tem zjawiskiem, mimowoli przypominam sobie artykuł niejakiego prof. J. Huxley'a, który na łamach „Daily Mail'u" rozpacza nad niezwykłym przyrostem liczby degeneratów, oto bowiem stwierdzono, iż w obecnej dobie stanowią oni w Anglji rzeszę 300.000 ludzi obojga płci. Z tej liczby 10 proc. zaledwie jest internowanych, inni zaś grasują swobodnie wśród ludzi normalnych, wstępując nawet w związki małżeńskie. W dalszem omówieniu tej klęski społecznej, prof. Huxley dochodzi do wniosku, iż obowiązkiem prawodawcy jest odgrodzić degeneratów od reszty społeczeństwa drogą przymusowej klauzury — t. zw. segregacji lub też przymusowej sterelizacji, czyli pozbawiania osobników potencji rozrodczej.

Trudno może łączyć te dwa objawy, gdyż zainteresowani zagadnieniami spirytystycznemi niekoniecznie są degeneratami. Skoro jednak rozpowszechnianie bredni o duchach i chochlikach znajduje tylu zwolenników, a wielu z nich w następstwie zapada na poważne zaburzenia psychiczne — rzeczy te w równej mierze winny zwrócić uwagę kompetentnych czynników.

Pisząc te słowa, odnoszące się do danych angielskich, muszę stwierdzić, iż i u nas, niestety, wzmaga się zainteresowanie zagadnieniami metampsychicznemi — stanowczo niezdrowe, gdy sprawom tym poświęcają się ludzie, żądni sensacji lub szukający pociechy.

(ri)

JAN PIOTROWSKI.

OSTATNIA FALA

1. MOJA FOTOGRAFJA



Mówią, że kiedy Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu rozum odbiera. Nie wiem, co tam i komu przeskrobali obecni wydławcy „Siedmiu Dni", ale straszne to musiały być grzechy, skoro niebiosa spuściły na nich tak zupełne zaćmienie umysłu.

Bo, proszę państwa, czy wydławca o normalnie funkcjonujących zwojach i komórkach mózgowych narażałby własnowolnie siebie i swoje pismo na potop? I to potop niebylejaki, bo potop „Ostatnich Fal".

Ha, trudno — jak mówi mój przyjaciel, red. Rafalski, kiedy stawiają przed nim nową kolejkę — naturalnie, nie podjazdową, lecz rozwijającą szybkość amerykańskich expressów. Mąż ten zacny i zasad niezłomnych słynie z tego, że na najdyskretniejszą nawet aluzję do wody objawia natychmiast groźne symptomaty żółtej febry, dżumy i najczarniejszej ospy, i to wszystkich trzech jednocześnie. Jakże to więc się dzieje, że dziś sam z zachęcającym uśmieszkiem na ustach, zaprasza „Ostatnie Fale" na łamy „Siedmiu Dni"?.

Tyle wody — miły Boże — tyle wody!

Kto tam jednak wie, co naprawdę w siedmiodniowej trawie piszczy! Może mata- i pikadorzy tego skądinąd b. sympatycznego tygodnika są w tym wypadku przysłowiowymi kowalami? Może wieszają ich w tej chwili za ciężkie winy filuta-ślusarza, który *„krzyknął: Nie pozwalam! — i uciekł na Pragę"*... przejeżdżając po drodze parę osób swym popularnym, acz jeszcze nie spłaconym Packardem?

Ale co tam! Chyba tylko jakiś Szyller-Szkolnik rozwiąże kiedyś tę zawiłą i tragiczną krzyżówkę. Dajmy więc spokój beznadziejnym dociekaniom i czemprędzej zanurzmy rozpalone czoła w orzeźwiających potokach „Ostatnich Fal", które oby tak samo wesoło i beztrosko mogły zapluskać na łamach „Siedmiu Dni", jak pluskały ongi w radjowym eterze.

Mógł mieć sobie Napoleon swoje „Sto Dni" po powrocie z Elby, miałem więc i ja moje sto „Ostatnich Fal" w studjo radjowem. Po tych stu dniach, wielki korsykanin osiadł na wyspie Świętej Heleny — ja zaś, jak na cudownej wyspie, ląduję dzisiaj na ósmej stronie Waszego pisma. Nie jest to, coprawda, to samo, ale wedle stawu grobla. Zresztą, jeżeli nawet coś naprawdę przewróciło mi się w głowie, wina to moich najmilszych słuchaczy radjowych. Tak jest, niemniej mili czytelnicy! Ileż to razy, osłupiały ze zdumienia, musiałem przerywać odczytywanie listów, pachnących jak wiązanki kwiecia, któremi rozentuzjazmowane pensjonarki zarzucały głupkowatego tenora. Ileż to razy musiałem szczypać się, przecierać oczy i nawet — ty mnie rozumiesz, kochany Redaktorze! — łykać wodę ogromnemi haustami, broniąc się przed najstraszliwszą chorobą — przed zabójczą i śmieszną manją wielkości.

Napróżno jednak perswadowałem — niewidzialny — moim niewidzialnym słuchaczom, że właściwie dzieje mi się krzywda — napróżno walczyłem zaciekle o prawo do mego istotnego „ja" — nie tego narcyzowatego i pełnego poetycznej tajemniczości „ja", które zrodziło się w wyobraźni moich dalekich, pobłażliwych przyjaciół radjowych — lecz do „ja", o ileż więcej skromnego, więcej rzeczywistego, a więc może właśnie dlatego bliższego im, niż ten imaginacyjny i pochlebny konterfekt, pod którym uparcie podpisywali moje nazwisko.

„Mundus vultdecipi..."

Ergo?

Ergo — korzystam ze sposobności i złażę czemprędzej z pomnikowego piedestału „Żeglarza", protestując najgorecej przeciwko temu, aby ktokolwiek darzył swą sympatją — zamiast mnie — tego *„wysokiego, szczupłego bruneta o płomiennych, aksamitnych oczach i pociągłej twarzy"* — albo tego *„jasnego blondyna o marzącem spojrzeniu niebieskich źrenic"*. Precz, precz z nimi! Wyzywam na bój śmiertelny te widmowe kukły! Ścinać się z niemi będę na szable, miecze, dzidy, topory i pistolety — na wszystko, czem się bije, wali, tłucze, kłuje, rąbie, siecze, strzela i przeszywa. Zmagać się będę z niemi o najcenniejszą, o najwspanialszą nagrodę: o źdźbło szczerej, prawdziwej sympatji ludzi żywych dla żywego człowieka...

Jestem — jaki jestem. W każdym razie nie mam w sobie nic z romantycznego i pełnego samozaparcia Cyrana. I wierzcie mi, że gdybym naprawdę zakochał się w jakiejś Roksanie, to smaliłbym do niej cholewki i pisał ogniste epistoły — na własny rachunek. Kochając, umiałbym przeskoczyć nawet przez własnego bohaterskiego nosa — i ręczę Wam, że niebawem w jego dobrotliwym cieniu rozległby się szmer szczęśliwych pocałunków...

Pozwólcie więc, kochani Czytelnicy, że zaprezentuję Wam mój rysopis. Przedewszystkiem więc — mój wiek.

Wiek?

Hm... trudna historja. Sam doprawdy nie wiem, ile mam lat w tej chwili. Naprawdę! Bo, podobnie jak pewien mądry Francuz z XVIII stulecia, liczę pieniądze (b. rzadko!), liczę srebra stołowe (w wyobraźni!), bo ktoś może mi je ukraść — nie liczę jednak moich lat, bo — niestety! — nigdy nie ubywają, lecz przybywają...

Widzicie, kochani Czytelnicy, z moim wiekiem to jest tak. W tej chwili, naprzykład, pochylony nad biurkiem, kreśli dla Was tę wstępną „Ostatnią Falę" dwudziestoletni, dziarski, pełen życia i entuzjazmu młodzieniec. A obok niego taki samiuteńki, kubek w kubek, kropla w kroplę, jak ulał, drugi dwudziestolatek popija herbatę i ćmi wiecznego, nigdy nie kończącego się papierosa.

Obydwaj razem — to ja.

Jestem więc, jak z powyższego jasno wynika, podwójnie młody, podwójnie dziarski i pełen podwójnego zapału do życia. I żeby tylko dwa razy dwa nie czyniło czterech, i żeby nie to niepotrzebne zero na końcu...

Zresztą o istotnej mojej młodości przekonać Was powinna załączona obok moja fotografja. Autentyczna! Słowo honoru! Niemało się naszperałem, zanim ją wygrzebałem ze stosu rodzinnych pamiątek. I możecie mi wierzyć, że niewiele zmieniłem się od tego czasu. Urodziłem się i pozostałem do dziś dnia — zawodowym optymistą. A optymizm — jak zapewniał Sienkiewicz — jest często głupi właśnie tak samo, jak głupie bywa dziecko. Lecz zaraz dodaje: *„optymizm ma jednak tę samą wyższość nad pesymizmem, jaką ma dziecko nad starcem"*.

Jestem, jak duże dziecko, które lubuje się w szczerozłotych dzwonkach beztroskiego śmiechu, w złożach szmaragdowej nadziei, w wysokich piramidach rubinowej miłości i w niebośnieżnych górach opalowych marzeń. Obok mego czarnego biurka lśnią pełne wory roziskrzonych gwiazdek z nieba, błyszczących kafli z pieca i nowiutkich, umyślnie stłuczonych, szybek z okna. Na biurku zaś stoi wysmukły dzban wypełniony po brzegi ptasiem mlekiem świeżego udoju...

Proszę — zapraszam najserdeczniej — dla wszystkich wystarczy!

I nie miejcie mi za złe, że w tych kaducznie ciężkich czasach ośmielę się mówić o takich pozornie błahych rzeczach, jak optymizm, szczęście, miłość, przyjaźń, bohaterstwo... *„Trzeba — jak nauczał Maeterlinck — aby bodaj kilku ludzi odważyło się myśleć, mówić i czynić tak, jakgdyby wszyscy ludzie byli już szczęśliwi"*. *„Dobrze jest wierzyć — dodaje — że wystarczy nieco więcej myśli, nieco więcej odwagi, nieco więcej miłości, nieco więcej ciekawości, nieco więcej zapału, aby dnia pewnego wrota radości i prawdy stanęły przed nami otworem"*.

Więc — komu wola:

Dowidzenia w następnym numerze!

JANUSZ MEISSNER.

RAID

Pan Gordon okazał się nadzwyczajnie miły, prawie do zakochania.

Pani Rita była bardzo zadowolona z zawarcia tej nowej znajomości, którą zawdzięczała w pierwszym rzędzie kuzynce swojej, pannie Zofji Nosowiczównie, a w drugim — dobroczynnemu dancingowi w Europejskim, gdzie znalazł się prawie wbrew swej woli, jedynie w celu przekonania się, czy prawdą jest to, o czem jej Nosowiczówna mówiła, co do Stefy Czarnockiej. Panna Zofja mówiła mianowicie swej miłej kuzyneczce, że Stefa Czarnocka, wielka przyjaciółka Rity, skopjowała jej najnowszą, przygotowaną na karnawał toaletę i — „wyobraź sobie, obnosi się w niej po wszystkich dancingach".

Wiadomość okazała się tylko w części prawdziwa (suknia Rity była koloru rose Patou, a Stefy — vert amande; przytem pierwsza miała kloszowe godety plisowane, a druga ich nie miała wcale), ale mogła zepsuć humor najpogodniejszemu człowiekowi właśnie, gdyby nie pan Jerzy Gordon, Rita z całą pewnością dostałaby migreny.

Z Gordonem też zresztą było chwiejnie: trochę zanadto zajmował się Stefą. Nie w takim stopniu, naturalnie, jak panią Ritą, ale zawsze..

Bądź co bądź, uratował sytuację: potrafił ją zainteresować, jak mało kto. Kapitalnie mówił i wogóle był miły szalenie. Zapowiadał się flirt na cały sezon.

W wolnej chwili, kiedy znalazły się same przy stoliku, Gordon poszedł na papierosa, a inni tańczyli), pani Rita zapytała Zofję, kto on właściwie jest.

— Gordon... — gest zupełnie nieokreślony— Gordon jest sportsmenem. Aha. Jest sławnym motocyklistą.

— Mo-to-cy-kli-stą...

— Tak, motocyklistą.

— Zlituj się, Zosiu, mówisz: motocyklistą? Czy—czy takich ludzi wogóle — hm, czy to wypada?

Panna Zofja nie mogła zrozumieć, o co jej chodzi.

— Bo widzisz — tłumaczyła Rita — no, jakby to powiedzieć? motocyklista to może być fryzjer, jakiś monter, jakiś — bo ja wiem? — froter, albo wogóle ktoś z niższej sfery, ale nie gentleman...

— Dlaczego?

— Dlaczego? — pani Rita miała bardzo przekonywujące argumenty.

Po pierwsze, nie rozumie jak na czemś takiem trzeszczącem i hałasującem można wogóle jeździć. Po drugie, wygląda się jak ulicznik, rozwożący gazety na rowerze (właściwie różnica między rowerem a motocyklem prawie nie istnieje). Po trzecie, nigdy by nie pojechała nawet w wózku przyczepnym, nawet na próbę do Wilanowa. Po czwarte „to" dymi i pachnie okropnie. Po piąte, po szóste, po siódme i t. d.

— No i wogóle — ze skrzywieniem ust — to nie jest sport.

— Można prosić panią? — bardzo poprawny, lekki ukłon (ani fryzjer, ani szofer).

Pani Ricie zrobiło się gorąco: podszedł niepostrzeżenie i mógł był usłyszeć. Obserwowała go, tańcząc z nim blues'a i myśląc jednocześnie, że pomimo wszystko jest bardzo, bardzo...

Rozmawiali jeszcze z pół godziny, siedząc przy kawie, bo Rita była zmęczona i nie chciała tańczyć. Starała się wybadać ostrożnie, czy rzeczywiście nie słyszał jej zdania o motocyklistach, i nabrała przekonania, że chyba nie. Zaprosiła go na „fajf" czwartkowy. Obiecał, że przyjdzie. Odwiózłszy ją do domu, trochę dłużej niż wypadało zatrzymał jej dłoń w swojej przy pożegnaniu.

— — — — — — — — — — — —

Pani Rita była w rozterce. Zofja zastała ją zdenerwowaną, bliską płaczu.

— Co się stało? — zapytała przestraszona.

— Ah, moja droga — rzuciła się ku niej Rita. — Sama nie wiem, co mam robić. Wyobraź sobie, Jerzy — — to jest, pan Gordon namówił mnie podstępnie na ten raid, wiesz, z paniami. Byliśmy z Czarnocką i Sulimirskimi na kolacji, i potem on, korzystając z tego, że więcej trochę piłam niż zwykle, wybłagał odemnie obietnicę. Pomyśl tylko: ja na raidzie motocyklowym — — ja!

Panna Nosowiczówna była już poinformowana o fakcie. Coprawda, nieco inaczej. Według wiadomości przez nią otrzymanych, Rita sama narzuciła się Gordonowi na towarzyszkę raidu i musiała przezwyciężyć jego opór w tym względzie, przy użyciu wszystkich dostępnych w towarzystwie środków.

W rzeczywistości było tak: rozmawiano o raidzie (tym właśnie z paniami) i Gordon powiedział do pani Rity:

— Jeszcze nie mam towarzyszki. Chciałem prosić panią, ale wiem, że nie lubi pani tego sportu.

Pani Rita zarumieniła się okropnie (widocznie jednak słyszał wtedy na dancingu).

— Wobec tego — ciągnął dalej, tak, że tylko ona mogła go słyszeć — mam zamiar prosić...

— Stefa — ukłuło panią Ritę domyślnie. — Ależ myli się pan — powiedziała prędko. — Bardzo chętnie pojechałabym na taki turystyczny raid. I zapewne pojadę, nawet jeżeli mnie pan nie zaprosi, w czem broń Boże nie chcę pana krępować, — z kimś innym.

Stanęło na tem, że pojadą razem.

— Za trzy dni, wyobraź sobie, za trzy dni. Straszne!

— Ostatecznie, cóż w tem strasznego? — powiedziała spokojnie panna Zofja. — To jest teraz modne i zupełnie przyjęte. Ale, jeżeli nie chcesz, możesz przecież napisać do pana Jerzego, że nie pojedziesz. Znam nawet kogoś, kogo mogłabyś zaproponować na swoje miejsce. Stefa Czarnocka...

— Pocieszasz mnie, doprawdy — przerwała Rita, — więc rzeczywiście to jest przyjęte? A nawet modne?!



I uspokojona, poszła razem z kuzynką kupować kostjum ze spodniami, do motocykla.

— — — — — — — — — — — —

Na dzień przed raidem pani Rita miała obowiązkowy dancing popołudniowy w „Europie". Gordona nie było, bo wraz z mechanikiem, słynnym niemal, tak jak on sam, panem Szatkowskim, przygotowywał swego „Efena". Ale pani Rita bawiła się dobrze: wszyscy znajomi już wiedzieli, że jedzie na *pięćsetce F. N.* z Gordonem. Po dancingu wyciągnęli ją do teatru, a stamtąd — oblać przyszłe tryumfy — do Oazy.

Wróciła do domu koło trzeciej i dopiero wtedy przypomniała sobie, że o siódmej ma być już na placu Piłsudskiego, na mecie.

Gordon nie mógł po nią przyjechać, ponieważ musiał stawić się z maszyną na miejscu o szóstej, a ona znów nie miała ochoty zrywać się o godzinę wcześniej. (I tak już wyrzuciła sobie, że popełnia szaleństwo, wstając o wschodzie słońca). Liczyła jednak, że położy się wcześnie i będzie wyspana. A tu — masz... Właściwie nawet nie warto iść do łóżka.

Sprawa obudzenia się na czas też nasuwała poważne trudności: pokojówka Frania nie mogła zaręczyć, czy sama nie zaśpi. W całym domu nie było budzika...

Ostatecznie poproszono dozorcę, żeby obudził

Franię, a ona obudzić miała panią Ritę, i wreszcie wszyscy posnęli.

— — — — — — — — — — — —

Kwadrans po siódmej zaryczał na ulicy przed oknami pani Rity ochrypły z niecierpliwości klakson. Raz, drugi, trzeci.

Pani Rita przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Resztki snu, który nie miał nic wspólnego z motocyklem (zato wiele z Gordonem), pierzchły, gdy klakson odezwał się znów natarczywie.

— Boże! — przestraszyła się i wyskoczyła z łóżka. — Trąbi na mnie, jak na swego mechanika — pomyślała jeszcze z oburzeniem, podchodząc do okna.

Ale to nie Gordon trąbił, choć jego maszyna z wymalowanym na wózku ogromnym białym numerem, stała pod bramą. Trąbiły dzieciaki, całem stadkiem żebrane dokoła motocykla.

W tej chwili rozległ się w przedpokoju dzwonek. (Pani Rita już była w łazience i prysznicowała się na gwałt. Dozorca, — Frania, — budzik — nie było na to czasu).

Pan Jerzy czekał w gabineciku, podczas gdy kończyła się ubierać, pierwszy raz w życiu tak prędko. Wyobrażała sobie, że będzie nadąsany i mile się zdziwiła, kiedy powitał ją uśmiechem.

— Śniadanie? — Byle prędko: straciliśmy kolejkę i startujemy na końcu. Mamy jeszcze 15 minut czasu.

Była skruszona:

— Przezemnie otrzyma pan karne punkty...

— Ale zato zjem drugie śniadanie — oświadczył wesoło. — Kawa wyborna. Toasty — no, poprostu piramidalne! A czas się odrobi na trasie.

Ogromnie ją to ujęło.

Gnali po schodach, jakby ich kto gonił. A przez miasto!... Szczęściem było blisko: tylko dwaj policjanci zdołali zanotować numer za nadmierną szybkość.

Na starcie zastali jeszcze sześć maszyn: cztery kolejne i dwie spóźnione, jak oni. Po minucie już gazowali w stronę rogatek.

— — — — — — — — — — — —

Pod koniec dnia, kiedy dojechali do pierwszego etapu, to jest do Bydgoszczy, humor pani Rity spadł niżej zera.

Była wściekła na siebie i na Gordona, że „dała się namówić" na ten warjacki raid. Powodów było mnóstwo: zaraz, na pierwszym punkcie kontrolnym, w Sochaczewie, wysiadając z wózka, rozdarła sobie pończochę; potem nieznośny kurz wymijanych kolejno motocykli, omal jej nie udusił; potem zgubiła puderniczkę, a Gordon — jak się okazało — pudru wogóle nie używał i nie mógł jej pożyczyć.

Pędził jak warjat po 100 albo i po 120 na godzinę, gdzie się dało i gdzie się nie dało. W Poznaniu zaledwie pozwolił jej zjeść obiad, tak mu było pilno. O flircie nawet nie mogło być mowy.

Potem zaczęło się z dętkami: pękały jedna po drugiej. Montował je u skraju szosy, podczas gdy pani Rita prostowała kości i naprożno starała się uniknąć nowych tumanów kurzu, wznoszonych przez maszyny, które teraz ich mijały z kolei.

Pozatem trzęsło — wszelkie pojęcie przechodzi. No, i była rzeczywiście nieludzko zmęczona.

Dokończenie na str. 212.

Nieletni przestępcy

Sprawa błaha: 10-letni malec złapany został na gorącym uczynku kradzieży z atomatu na czekoladki, do którego włamał się przy pomocy żelaznego haczyka, drobnej sumy pieniędzy — kilku złotych. Młodociany przestępca, nie notowany dotychczas w kronice kryminalnej, jest synem ubogich wyrobników. Ojciec — alkoholik, dwukrotnie karany — raz za udział w krwawej bójce, drugi raz — za kradzież. Matka utrzymuje ciężką pracą całą rodzinę — drobiazg, sześcioro dzieci, z których nasz malec jest drugim z rzędu, i sparaliżowaną matkę. Rodzina gnieździ się w jednej izbie, na przedmieściu. Mają troje sublokatorów, jak oni, nędznych, z których dwoje odsiadywało karę więzienia, trzeci jest żebrakiem, alkoholikiem.

Skuci ze sobą młodociani przestępcy za chwilę wejdą do sędziego śledczego. Jaki los ich czeka?

Albo inny wypadek: ze szkoły powszechnej wypuszczono malców. Sprzeczka wybuchła pomiędzy 12-letnim chłopcem i starszym o rok jego kolegą. Poszło o bagatelę — o kleks na kajecie. Od słowa do słowa sprzeczka przechodzi w bójkę. Kuksańce. Jeden z malców ulega wreszcie drugiemu — popchnięty silnem uderzeniem, pada. Otaczająca walczących zgraja wyrostków śmieje się. Lecz cóż to? Pokonany zrywa się na swego przeciwnika — scyzorykiem zamierza się i rani zwycięzcę w twarz. Oko uszkodzone. Policja. Pogotowie. A zaczęło się od „kleksa".

Albo jeszcze: pracowali razem przy budowie kolonji na przedmieściu. Jeden, w wieku lat 14-tu, drugi nieco starszy. Powracają o zmierzchu, skracając sobie drogę na przełaj, przez glinianki. Wybucha sprzeczka. Jeden drugiemu nie chce pożyczyć pieniędzy, a ma je przy sobie, bo chłopiec oszczędny. Jedna chwila — i oto od uderzenia przez towarzysza tępem narzędziem w skroń wyrostek pada, ogłuszony. Tamten wpada w szał. Wali jak potępieniec, raz za razem, po głowie. Wyciąga pieniądze swojej ofierze, ciągnie nieprzytomnego ku gliniance i po chwili już po wszystkiem. Sprawa wydała się tego samego dnia. W szynku, na zabawie w Luna-Parku, sam się wygadał. Fanfaronada pijanego...

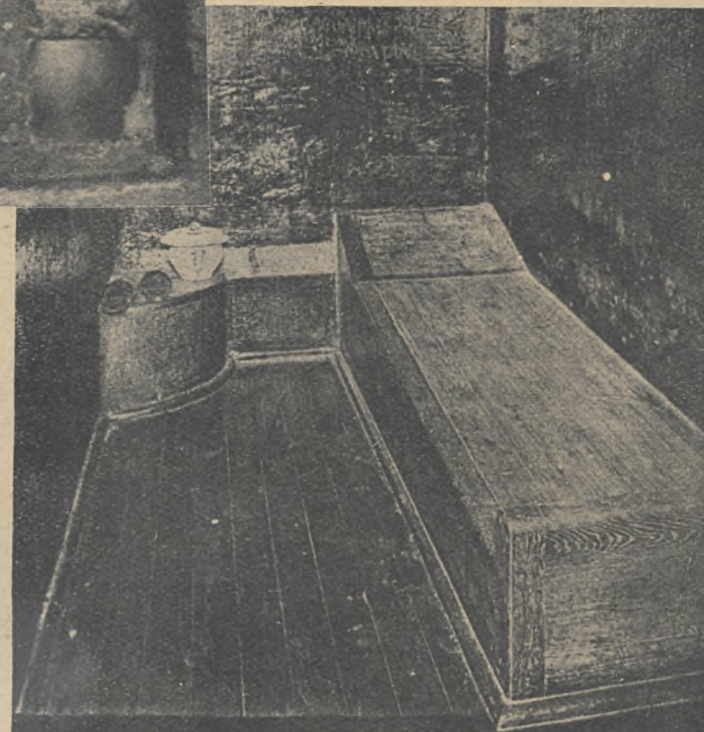
Inny wypadek wywołał niesłychaną sensację. Bo oto wykryto, iż sprawcami szeregu kradzieży, dokonanych w podmiejskiej miejscowości, jest zorganizowana banda chłopców, z których najstarszy ma lat 16 — najmłodszy 12. Wszyscy pochodzą z zamożnej sfery. Przyznali się, iż przestępstw dokonywali pod wpływem lektury kryminalnych powieści o Lupin'ach i sensacyjnych filmów.

— — — — — — — — — — —

Spraw takich jest mnóstwo. Jedne poważniejsze, inne drobne, przypadkowe.

Spraw takich jest kilka tysięcy rocznie, z których w 75 proc. chodzi o kradzież.





Paryskie więzienie dla nieletnich, la Roquette, słynęło ze strasznego zaniedbania, które przedewszystkiem odczuwali młodociani przestępcy, skazani na pobyt w tych ponurych murach. Na zdjęciach widzimy 2 cele, z których jedna jest bardziej luksusowa (!), druga zaś przeznaczona dla odbywania dyscyplinarki.



Chwila wytchnienia, rozrywki... Lecz pensjonarze z La Roquette nie mogą z niej korzystać, ciesząc się wspólną radością, bo i wtedy każdy zamknięty jest oddzielnie, jak w pudle. Najweselsza melodja nie wywoła z pewnością cienia uśmiechu.

Sprawy nieletnich są daleko trudniejsze do rozstrzygnięcia, gdyż wiadomo, że zastosowanie kary przez pozbawienie wolności, może raz na zawsze, na całe życie wytrącić młodą istotę ze zwykłej kolei; z drugiej strony zaś darowanie winy jest niemożliwe — niemoralne i niebezpieczne chociażby z tego względu, iż młodociany przestępca znów powraca do swego otoczenia, do zgubnych przykładów, których mu starsi nie skąpią — alkohol, bójki, kradzież, żebranina. Stoczyć się coraz niżej, do ostatecznego upadku jest również łatwo, jak wyjść ze spaczonym do gruntu charakterem z murów więzienia lub zakładu poprawczego.

Wiele czynników wchodzi w grę, które należy rozpatrzeć skrupulatnie, przeprowadzić wszechstronne badanie. Zastanowić się nad środowiskiem, z którego małoletni wyniósł złe instynkty lub nad fatalną dziedzicznością, którą jest obciążony. Zadanie zdawałoby się zbyt skomplikowane, lecz jakże konieczne do spełnienia — sumiennego i drobiazgowego. *)



Podwórze w więzieniu dla nieletnich w La Roquette, przeznaczone do kilkuminutowych przechadzek.

Sprawy nieletnich przestępców są przedmiotem głębokich studjów, przeprowadzanych na całym świecie. Stwierdzić możemy z satysfakcją, iż wiele już dokonaliśmy w tej dziedzinie, więcej może od innych państw. Przykładem Francja, gdzie obowiązuje nieludzka ustawa z roku 1921, traktująca z bezwzględną surowością wypadki włóczęgostwa *(vagabondage)*, pozbawione nawet cech przestępstwa, lub gdzie do niedawna funkcjonowały przestarzałe więzienia, jak słynące z zaniedbania „La Petite Roquette" w Paryżu w którem od 110-u lat nie dokonano żadnych remontów, ani nie wniesiono ulepszeń współczesnych.

— — — — — — — — — — — — — — —

W chwili, gdy dziecko, wykolejone po raz pierwszy styka się ze sprawiedliwością, nie może być mowy o mechanicznem stosowaniu tego lub innego paragrafu kodeksu, otwierającego przed nim wrota więzienia, gdyż sumienie nakazuje pomyśleć, iż nie chodzi o karę jako taką, lecz o uratowanie młodocianego przestępcy od upadku.

(r)

---

*) Możemy poszczycić się posiadaniem słynnego specjalisty w tej dziedzinie, którego opinja przyczyniła się do dokonania wielu doniosłych reform, dotyczących zarówno praktyki sądowej, jak i metod więziennictwa. Luminarzem tym jest kobieta-sędzia W. Grabińska, z sądu dla nieletnich w Warszawie, stale delegowana przez nasze władze i organizacje do brania udziału w obradach komitetów międzynarodowych i kongresów światowych.



Czy „vagabondage" (włóczęgostwo) może być poczytywane za przestępstwo i winno być karane więzieniem? Jedynie we Francji istnieje takie prawo, które wkrótce dopiero uda się zapewne złagodzić. Najwyższy czas! Szerokie sfery ludności przyklasną tej zmianie.

Przewrót w nauczaniu języków

Powszechnie wiadomo, jakim skarbem jest posiadanie obcych języków, dzięki którym zbliżamy się do ludzi innych narodowości i do ich krajów, wnikamy w ich życie, sposób myślenia i poglądy na świat, a przez to wzbogacamy nasz umysł.

Dla własnej korzyści i dla własnej przyjemności winniśmy koniecznie siebie i dzieci nauczyć obcych języków.

Uznając słuszność zasady, iż lepiej jest najpierw słuchać, a potem dopiero zacząć mówić, lecz nie koniecznie mogąc korzystać z kosztownych lekcyj, lub, co jeszcze trudniejsze — z pobytu w obcym kraju, zrozumiemy, jak doniosłym wynalazkiem jest

lingwafon,

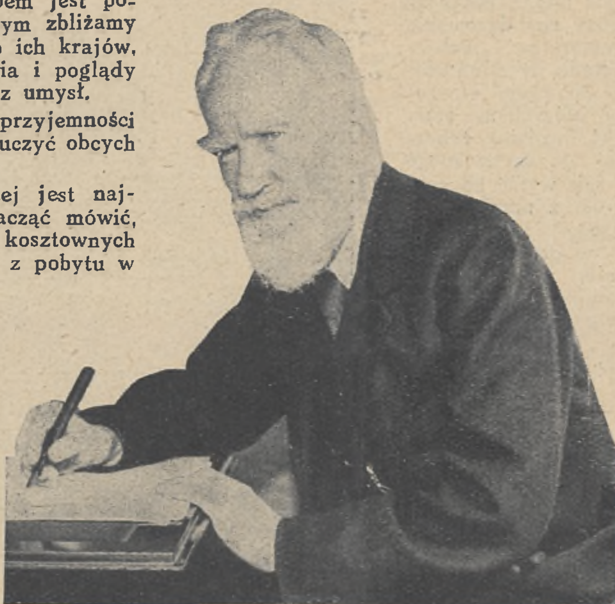
polegający na nauczaniu przez płyty gramofonowe.

Metoda ta łączy poglądowość i wzorową wymowę z systematycznem zaznajamianiem uczniów z językiem potocznym.

Liczne świadectwa osoób, które korzystały z metody lingwafonicznej, potwierdzają naszą opinję o wyjątkowych walorach tego wynalazku.

Dość wspomnieć, że Bernard Shaw, H. G. Wells i wielu innych wybitnych pisarzy wyrażają się ze szczerym entuzjazmem o lingwafonie, stwierdzając, że nauczanie języków wkracza, dzięki tej metodzie, na nowe, dotychczas nieznane tory.

Dodamy wreszcie, iż Bernard Shaw napisał i osobiście wygłosił rozprawę p. t. „Prawidłowa i łamana angielszczyzna", w celu utrwalenia jej na płytach.



Bernard Shaw.

L. P.

Impresje teatralne

Teatr Narodowy: „O żonach dobrych i złych" Adolfa Nowaczyńskiego.

Trudno było w tej rozwlekłej sztuce poznać rasowego pisarza Nowaczyńskiego, autora „Fryderyka Wielkiego" i „Cara Samozwańca" lub tak świetnej „Wiosny narodów". Oczywiście lwi pazur znakomitego pamflecisty ujawnił się i tu chwilami, ale mieliśmy się prawo spodziewać po Nowaczyńskim czegoś znacznie ciekawszego. Sztuka dała możność popisania się p. Larys-Pawińskiej, poskąpiła jej natomiast p. Ćwiklińskiej. Znakomite epizody dali: Solski, Węgrzyn i Bay-Rydzewski, nadewszystko zaś p. Jasińska, jako pyszna „Bunia".

Morskie Oko: „Sympatja Warszawy".

Sympatją Warszawy „Morkie Oko" kiedyś się cieszyło, w bieżącym sezonie szeregiem fałszywych posunięć ją straciło, ale teraz bodaj odzyska w całej pełni. Bieżąca rewja jest bowiem rzetelnym wysiłkiem dania ze siebie wszystkiego najlepszego.



Ćwiklińska, Jasińska i Węgrzyn w sztuce A. Nowaczyńskiego.
(fot. Malarski).



W sztuce „Ulica", która święciła w teatrze „Ateneum" tak niezwykły, jak na dzisiejsze warunki, tryumf, występowała utalentowana artystka, p. Daszyńska (córka b. marszałka Sejmu), dzielnie sekundując mistrzowi Jaraczowi.

M. ZOSZCZENKO.

Biedny nauczyciel

Nauczyciel drugiego stopnia, Iwan Siemionowicz Trupikow, obciągnął swą kusą marynarkę, kalsznął w kułak i bojaźliwemi krokami poszedł do klasy.

— Znowuście się spóźnili? — zapytał surowo dyżurny.

Iwan Siemionowicz zmieszał się i z szacunkiem witając się z klasą, cicho powiedział:

— A to tramwaj, wiecie... to ja tramwaj spóźniłem...

— Wykręty, uśmiechnął się dyżurny.

Nauczyciel nieśmiało usiadł na brzeżku krzesła i przymrużył oczy. Dziwne wspomnienia błąkały mu się po głowie. Oto on, nauczyciel historji, wchodzi do klasy i wszyscy uczniowie wstają z szacunkiem, a on, Iwan Siemionowicz Trupikow, twardym, surowym krokiem podchodzi do katedry, otwiera dziennik i... niezwykła cisza zalega klasę! I wtedy Trupikow surowym wzrokiem przeglądając dziennik, wywoływał nazwisko.

— Siemionow Mikołaj!

Nauczyciel wzdrygnął się, otworzył oczy i cicho powiedział:

— Siemionow...

— Co jest? — zapytał uczeń, przeglądając album z markami.

— Ee, nic... — powiedział nauczyciel. — To ja tak. Nie przywiązujcie wagi.

— Co za tak?

— Noo, nic... To ja chciałem się dowiedzieć, czy jest młody towarzysz Siemionow.

— Jest! — powiedział Siemionow, oglądając pod światło markę z Chin.

Nauczyciel przeszedł przez klasę.

— Przepraszam, młodzi towarzysze, — powiedział, — na dzisiaj macie zadane... to jest chciałem powiedzieć... proponowano wam przeczytać reformę byłego Aleksandra I... Ja, wierzcie mi, młodzi towarzysze, z pogardą mówię o cesarzach.

W klasie rozległ się śmiech.

— To ja tylko tak — powiedział nauczyciel.

— To ja się denerwuję. Proszę mnie źle nie rozumieć. Ja nie nalegam. Ja nawet się cieszę, jeżeli wy nie chcecie opowiadać. Ja denerwuję się, towarzysze.

— A milcz ty chociaż na chwilę — rozległ się czyjś głos. — Trajkocze, jak sroka.

— Milczę... — powiedział nauczyciel. — Ja tylko cichuteńko. Ja cichuteńko tylko chcę zapytać młodego towarzysza Siemieczkina: jakie znalazł aktualja polityczne w gazecie „Prawda"?

Siemieczkin odłożył gazetę na stronę i powiedział:

— To niby co ma być, aluzja? Gazetę niby mam sprzątnąć. Tę gazetę sprzątnąć? A wy wiecie... A ja was za to mogę...

— Nie... nic... Jak Boga kocham, nic... To jest, o Bogu ja nic nie powiedziałem... Proszę mnie źle nie rozumieć.

Nauczyciel, zdenerwowany, zaczął chodzić po klasie.

— Nie migaj ty, do cholery, przed oczyma! — powiedział ktoś. — Stań przy tablicy.

Nauczyciel stanął przy tablicy i wytarłszy nos ręcznikiem, cichuteńko zapłakał.

Tłom. Ali.

Na pierwszy plan wysunęła się znakomita parodja... rewji. A na pierwszy plan tej parodji — pyszna kreacja Olszy, wyśmienitego w masce i intonacji. Obok niego budzi salwy śmiechu Bodo, jako „Pogorzelska", podczas gdy sama Pogorzelska ze zdumiewającym zmysłem obserwacyjnym kopjuje Krukowskiego, jak żywego. Doskonale dostrajał się do całości Sielański.

Z obrazów o charakterze nastrojowym na szczególne uznanie zasługuje „Spalenie czarownicy", pięknie zilustrowane muzycznie przez Warsa. Tu nareszcie udało się „Morskiemu Oku" po raz pierwszy w bieżącym sezonie dać właściwą koncepcję taneczną. Oto rzeczywiście mądrze i artystycznie ułożony taniec akrobatyczny, nie ćwiczenie, jak dawniej, lub jak w tejże rewji „Biała myszka". Bo cóż z tego, że „kauczukowa" Antoszówna robi arcy-trudną „stójkę na łokciach" wspaniale, gdy pozatem nic ściśle tanecznego nie pokazuje? Zato, jako czarownica jest na niedoścignionej wysokości zadania. Tu akrobatyka jest zredukowana do tego, czem być powinna — jest środkiem wyrazistości tanecznej. Chodzi o to, aby tańczyć akrobatycznie, nie akrobatyzować tanecznie. To wielka różnica! Dlatego też „Spalenie czarownicy", ładnie zakończone efektownym tańcem zespołowym, będzie zanotowane po wieczne czasy w dziejach polskiego tańca scenicznego. Na pochwałę zasługuje tu też kreacja Rolanda. Ponadto — dwa piękne finały oraz „revellers" pod kierunkiem Warsa.

Z uznaniem należy podnieść wielki sukces aktorski Boda, doskonałego w każdej roli, a w tańcu „Na rogu ulicy" wyraźnie górującego nad swymi partnerami, poczem stwierdzić wypada zasłużone powodzenie Pogorzelskiej, pochwalić niefrasobliwą jowialność Waltera, kilka popisów Sokołowskiej (niedostatecznie spożytkowanej), przemiły śpiew Bobrowskiej i Żabczyńskiego, grę Żabczyńskiej, dobry, jak zwykle, taniec Horbaczewskiej, pewną poprawę u „girls", a zganić — brak pola do popisu u „boys". Strona dekoracyjno-kostjumowa na wysokości zadania, skecze dowcipne. Słowem „Morskie Oko" znów staje się „Sympatją Warszawy".

Odrodzenie Operetki Warszawskiej.

W sobotę dnia 14 b. m., otwiera swe podwoje nowy teatr operetkowy, który mieścić się będzie przy ul. Bielańskiej 5. Takie wytrawne siły, jak Elna Gistedt, Redo, Wawrzkowicz i Kochanowski są rękojmią, że zamierzone „odrodzenie świetności operetki warszawskiej" wreszcie da się urzeczywistnić.

Henryk Liński.







Na lewo — Olsza, jako „conférencier", na prawo — Pogorzelska, jako „Krukowski" w krzywem zwierciadle „Morskiego Oka", a w środku Walter, jako kuchmistrz całości.



„Spalenie czarownicy" — wysoce artystyczny obraz taneczny, tryumf Antoszówny, Rolanda i Warsa — najwspanialsza atrakcja nowej rewji „Morskiego Oka". *(Fot. Brzozowski).*

J. S. FLETCHER. 3)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzedniego rozdziału.

Do młodego adwokata, Shelmere'a, zamieszkałego w miasteczku Southernstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Pretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu.

Wzywają inspektora Mellaponta, który rozpoczyna indagowanie służby.

Mellapont spojrzał na portjera mniej krytycznie, niż poprzednio na pokojówkę. Pierwsze pytanie zadał tonem dziwnie obojętnym.

— Codziennie pełnicie służbę od pół do dwunastej wieczorem do siódmej rano, Kight?

—Nie, sir! Od jedenastej wieczorem do ósmej rano.

— Czyli że omyliłem się o półtorej godziny, co? Doskonale! W każdym razie w poniedziałek w nocy byliście również na służbie?

— Jak zwykle, sir.

— Czy pamiętacie pana Deane'a, gościa z pokoju Nr. 7?

— Owszem, sir. Widziałem jak żegnał się z panem Bellingem w poniedziałek wieczorem i kierował sie do swego pokoju.

— Nie widzieliście, czy schodził potem nadół?

— Nie widziałem, sir.

— A nazajutrz rano, także nie?

— Nie, sir.

— Nie widzieliście go wogóle w nocy z poniedziałku na wtorek?

— Nie widziałem go od chwili pożegnania z panem szefem.

— A czy gość mógł wyjść z hotelu bez waszej wiedzy?

— Trudnoby to było, sir. Głównem wyjściem byłoby to nawet niemożliwe.

— Dlaczego?

— Zaraz to panu wytłumaczę. Widzi pan, dziedziniec hotelowy dzieli się na dwa wąskie przejścia. Każde z tych przejść tworzy coś w rodzaju korytarza, który łączy oficyny z frontem. Frontowe wejście, jak panu wiadomo prowadzi z High Street. Istnieje jeszcze tylne wyjście, przez które wychodzi się na Sepulchre Alley. Obydwa te wejścia zamknięte są od godziny jedenastej wieczorem, to jest od chwili, gdy przychodzę na służbę. Zamknięcie tych wejść jest pierwszym moim obowiązkiem. Przez całą noc siedzę w małej dyżurce od podwórza, a drzwi tej dyżurki są stale otwarte. Jeżeli ktoś spóźniony chce wejść do hotelu po jedenastej, musi na mnie zadzwonić. Tak samo każdy, kto chce wyjść na ulicę, musi zwrócić się do mnie. Istnieje jedna tylko droga, ale tej w hotelu nikt nie zna.

— Jakaż to droga, Kight? — zapytał Mellapont z zaciekawienieniem.

— Od strony Sepulchre Alley znajdują się małe ukryte drzwiczki, które zazwyczaj bywają zamknięte tylko na klamkę. Drzwiczkami temi można wyjść z hotelu, ale gdy się chce wejść trzeba już zadzwonić.

Mellapont przesłał znów porozumiewawcze spojrzenie młodemu adwokatowi.

— Znaczy się, że pan Deane wyszedł właśnie temi drzwiami! — zauważył. — Ale teraz zachodzi pytanie, kiedy to się stało? Kight!

— Słucham, sir!

— Czy przez całą noc z poniedziałku na wtorek nie wychodziliście ze swej dyżurki?

— Owszem, sir. Wychodziłem dwa razy. Zazwyczaj w dyżurce przechowuję napoje dla nocnych konsumentów. Przed dwunastą zaniosłem butelkę whisky i syfon wody sodowej pod Nr. 15-ty, który zajął jegomość, przybyły nocnym pociągiem. Gość zatrzymał mnie chwileczkę w pokoju

— A dokąd wychodziliście po raz drugi?

— Zanosiłem kawę i ciasteczka, pod Nr. 5-ty o szóstej nad ranem. Pokój ten zajmował jakiś motocyklista, który kazał zbudzić się tak wcześnie.

— I w obydwóch tych wypadkach bawiliście na górze zaledwie kilka minut, co?

— Tak jest, sir.

— Czy możliwe, aby w międzyczasie ktoś zeszedł po schodach niezauważony i tajemnemi drzwiami wyszedł na Sepulchre Alley?

— Możliwe, sir, — potwierdził Kight z uśmiechem—ale nieprawdopodobne. Ten ktoś musiałby znać dokładnie rozkład hotelu i wiedzieć o owem wyjściu. Mam wrażenie, że pan Deane mieszkał w naszem hotelu po raz pierwszy.

Mellapont podniósł się z krzesła.

— Wszystko jedno — rzekł, zwracając się do Bellinga. — Jestem przekonanny, że Deane, po udaniu się na spoczynek, wstał, ubrał się i poszedł nadół właśnie w chwili, gdy Kight był pod Nr. 15-ym. Nasuwa się tylko pytanie dokąd pan Deane poszedł, gdzie obecnie przebywa? Postaram się to wyświetlić. Panie Shelmore, chciałbym bardzo zabrać pana teraz do mego biura. Pannie Pretty radziłbym zjeść obiad i uspokoić się nieco. Zapewniam panią, że uczynię wszystko, aby odnaleźć pani opiekuna. Chodźmy, panie Shelmore.

Shelmore zatrzymał się jeszcze na chwilę, aby powiedzieć pannie Pretty, że przyśle do niej ciotkę swą, pannę Chauncey i wyszedł pospiesznie z Mellapontem. Gdy znaleźli się na ulicy, inspektor przystanął na chwilę

— Panie Shelmore—wyszeptał.—Niech się pan nie zdziwi, jeżeli ta cała afera przyjmie niemiły obrót! Podejrzewam rabunek, a nawet morderstwo! Jestem tem wszystkiem zaskoczony. Najgorsze to, że cała nasza policyjna załoga wysłana została do Południowe j Walji, dla stłumienia strajku węglowego. Mam teraz do rozporządzenia tylko kilku ludzi z policji mundurowej i kilku tajnych agentów. Jednakże będę musiał przeszukać całe miasto, aby znaleźć zaginionego. To pachnie morderstwem, panie Shelmore!

Skierowali się obydwaj do gmachu Komendy Policji i po chwili znaleźli się w mrocznym pokoju, gdzie przy obszernym biurku siedział młody mężczyzna, z oznaką tajnego detektywa w klapie marynarki.

ROZDZIAŁ III.
WYRWA W PIASKU.

Mellapont zbliżył się do biurka i położył dłoń na ramieniu detektywa.

— Taki człowiek jest mi właśnie potrzebny— zawołał. — Chodźcie panowie obydwaj do mego gabinetu. Panie Shelmore, zna pan chyba pana Hackdale'a? Pan Hackdale jest jednym z najzdolniejszych moich pomocników, specjalistą w dziedzinie rozwiązywania najtrudniejszych życiowych zagadek.

Shelmore znał Johna Hackdale'a bardzo dobrze. Znał go niegdyś, jako pomocnika zarządzającego składem sukna firmy Champeronowne, której właścicielką była rozumna niewiasta, sprawująca jednocześnie urząd biurmistrza Southernstowe. Znał go również, jako starszego brata urzędnika swego, Simmonsa Hackadale'a. Wiedział o nim więcej od niejednego z mieszkańców miasta. Bracia stracili wcześnie rodziców. John miał wówczas lat siedemnaście a Simmons—dziesięć. Natychmiast po śmierci rodziców, John zabrał się do pracy i w krótkim czasie zaczął zarabiać na utrzymanie swego brata. Dopiero gdy Simmons dorósł, starszy jego brat począł myśleć więcej o sobie. Adwokat Shelmore wiedział również, że John Hackdale, mając obecnie lat dwadzieścia siedem, cieszył się w mieście opinją człowieka ambitnego i uczciwego. Shampernowne leżało mu bardziej na sercu, niż głównemu zarządzającemu, to też chlebodawczyni nie szczędziła mu pochwał znając go nie mniej od Shelmore'a.

Skoro tylko opowiedziano Hackdale'owi przebieg zdarzeń z hotelu Chancellor — oświadczył bez namysłu, iż pan Deane musiał być już kiedyś w Southertowne...

— Tak? a skądże ten wniosek? — Zapytał Mellapont.

— Bardzo nieskomplikowana historja, — rzekł Hackdale. — Pan Deane musiał wiedzieć o ukrytych drzwiach, prowadzących na Sepulchre Alley. Ja osobiście wiedziałem o nich, gdy byłem jeszcze małym chłopcem. Za czasów pracy w jednym z tutejszych sklepów, niejednokrotnie odnosiłem paczki do hotelu Chancellor, wchodząc właśnie tem ukrytem wejściem. Sądzę więc, że pan Deane znał Southernstowe i znał kogoś mieszkającego tutaj, Postanowił widocznie wyjść nagle, wśród nocy, aby z tym kimś się spotkać, a to, że nie wrócił, jest kwestją...

Tu umilkł, spoglądając wymownie na towarzyszy.

— No, cóż dalej?... — nastawał Mellapont.

...Należałoby to wyjaśnić, — ciągnął Hackdale. Umilkł znowu, patrząc wymownej jeszcze na inspektora.

— Sądzę, że zaginiony miał przy sobie dużo pieniędzy — przyznał Mellapont.

— Właśnie w poniedziałek przybyło do naszego miasta mnóstwo turystów — rzekł Hackdale po chwili. Wielu z nich pozostało tutaj na noc. Pan Deane mógł naprzykład udać się do któregoś z domów na krańcach miasta...

— Wszyscy tak przypuszczamy! — zawołał Mellapont. — Jedyną rzeczą jest, że trzeba natychmiast wziąć się do poszukiwań i opublikować tę całą historję. W takiem małem miasteczku jak nasze, za godzinę wszyscy będą o tem wiedzieli. Byłbym rad, gdyby pan rozpoczął poszukiwania na własną rękę, specjalnie w północnej dzielnicy miasta. Znajdzie pan napewno kogoś, kto widział pana Deane'a, albo wie o nim cośkolwiek.

— Wątpię, — rzekł Hackdale niepewnie. Dziewięć dziesiątych naszych mieszkańców zazwyczaj śpi już o tej porze. Nawet o dziesiątej wieczorem trudno spotkać kogoś na ulicy.

Pożegnał mężczyzn swobodnem skinieniem głowy i wyszedłszy do przyległego pokoju, wydał kilka poleceń, znajdującym się tam już policjantom, którzy gotowali się do wyruszenia na nową obławę. Po wyjściu z Komendy Policji, Hackdale skierował się w stronę wąskiej uliczki, biegnącej równolegle z City Hall. Przy samym końcu tej uliczki znajdował się niewielki placyk, na którym wznosiło się kilka starych, pochylonych domów. W jednym z tych domów mieszkali obydwaj bracia Hackdale. John Hackdale postanowił natychmiast zobaczyć się z Simmonsem, wiedział bowiem, że młodszy jego

brat jest specjalistą od rozgłaszania po mieście rozmaitych wiadomości, to też i tym razem chciał mu powierzyć kwestję opublikowania historji zniknięcia Jamesa Deane.

Hackdale wszedł do obszernego hallu, oświetlonego wątłym blaskiem wiszącej lampy. W kręgu światła lampy stał jakiś mężczyzna w wieczorowym stroju, zajęty czyszczeniem cylindra. Był to człowiek starszy, lat około sześćdziesięciu, dobrze zbudowany, z śladami dawnej piękności na pomarszczonej już nieco twarzy. Mężczyzną tym był Marek Ebbit, którego Hackdale znał jako sąsiada i zarządzającego świeżo otwartym domem rozrywek. Ebbit, jak wiadomo, był niegdyś aktorem i cieszył się dość dużem powodzeniem. Hackdale pamiętał jeszcze ów czas, kiedy Ebbit przybył do Southernstowe i występował w miejscowym teatrzyku. Obecnie, ze względu na podeszły wiek, został dyrektorem lokalu rozrywkowego i dawało mu to ogromne zadowolenie.

Mężczyźni przywitali się przyjaźnie i Hackdale przystanął na chwilę u drzwi, prowadzących do jego pokoju.

— Ma pan jakieś nowiny? — zapytał.

— Absolutnie nic, mój chłopcze — odparł Ebbit. — A pan?

Hackdale opowiedział mu wszystko, co sam słyszał przed chwilą od Mellaponta. Ebbit słuchał z wielkiem zainteresowaniem, przymierzając jednocześnie cylinder przed lustrem, zawieszonem nad gzymsem kominka.

— To musiał być ten przyjezdny, którego dostrzegłem na naszem przedstawieniu w poniedziałek wieczorem. Wysoki, z siwawą brodą, ubrany w bronzowy, angielski garnitur. Zauważyłem, że miał śliczną brylantową szpilkę w krawacie. Dziwne, że taki starszy pan wychodzi wśród nocy w obcem mieście, mając na sobie tyle biżuterji.

— Byłbym rad, żeby pan opublikował to w swym teatrzyku, jeszcze dzisiaj wieczorem — uśmiechnął się Hackdale. — Publiczności macie zawsze dość dużo.

— Wyobrażam sobie, mój chłopcze, że jeszcze przed kolacją całe miasto będzie mówić o tem!

— Może pan być zupełnie spokojny! Wystarczy wtajemniczyć w tę historję nasze gospodynie, a rozgłoszą już one o tem całemu miastu!

Zarzucił na szyję biały, jedwabny szalik i, włożywszy cylinder na bakier, wyszedł z pensjonatu. Hackdale wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi do obszernego pokoju, który służył jemu i bratu za gabinet. Zastał Simmonsa pochylonego nad jakąś książką i opartego łokciem o kant dużego biurka. Simmons, słysząc wchodzącego brata, podniósł głowę.

— Sim, mam dla ciebie zajęcie — rzekł Hackdale. — Czy zamierzasz wyjść na miasto?

— Wyjdę na pół godzinki — odparł Simmons. — A co się stało?

Hackdale opowiedział bratu historję tajemniczego zniknięcia pana Deane.

— Historję tę możesz powtórzyć każdemu, kogo spotkasz, pozatem postaraj się mówić o niej jak najwięcej w klubie.

Simmons skinął potakująco głową. Jasne jego oczy przysłoniły się mgłą zamyślenia.

— To pewno będzie ta sama dziewczyna, która przyszła dzisiaj popołudniu do kancelarji Schelmore'a — zauważył. — Shelmore wyszedł razem z nią. Nazywa się Pretty, panna Cynthia Pretty.

— Oryginalne nazwisko — uśmiechnął się John. — Czy naprawdę jest ładna? (pretty — po ang. ładny).

— Szalenie! — zawołał Simmons. — Ma prześliczną figurę. Na wizytówce wyczytałem, że mieszka w Kornwalji, ale jestem pewien, że stroje swoje nabywa gdzieś w większem mieście. Typowa londynka od stóp do głowy!

— Zawsze byłeś doskonałym obserwatorem, Sim, — poklepał Hackdale brata po ramieniu. — Muszę teraz, niestety, śpieszyć do pracy. Zobaczymy się jutro przy śniadaniu.

Hackdale włożył do kieszeni paczkę z buterszynytami, do drugiej wsunął buteleczkę whisky i skinąwszy bratu na pożegnanie, wyszedł z pokoju. Zamiast jednak wyjść na ulicę głównemi drzwiami, skierował się przez wąski korytarz na małe podwórko i spuścił z łańcucha ukochanego swego psa, bronzowego dobermana, którego wszyscy w sąsiedztwie znali pod mianem Martin. W towarzystwie swego ulubieńca Hackdale wyszedł z pensjonatu i skierował się w stronę północnej dzielnicy miasteczka, która od lat kilku powierzona była jego pieczy.

Mellapont miał słuszność, mówiąc, że miasteczko było bardzo maleńkie i że wszyscy w niem znali się doskonale. Southernstowe było jednem z najstarszych miasteczek w Anglji i posiadało starą katedrę, godną widzenia dla wielbicieli zabytków architektonicznych.

Północna część miasta była dzielnicą, którą się opiekował Hackdale. Wznosiły się tu przeważnie prywatne rezydencje bogatszych mieszkańców, wybudowane na wzór pałacyków i otoczone dość przestrzennemi placykami. Dzielnicę tę zamieszkiwali przeważnie bogaci kupcy, fabrykanci i ludzie wyzwolonych zawodów. Nawet chlebodawczyni Johna Hackdale, pani Zofja Champernowne, burmistrz miasta, posiadała tutaj także swoją rezydencję, ochrzczoną nazwą Ashenhurst House, gdzie mieszkała z bratem swym, trochę dziwnym, eleganckim nierobem, nazywanym ogólnie panem Alfredem. Zarówno Hackdale, jak i wszyscy mieszkańcy miasta nie mieli pojęcia jak brzmiało nazwisko pana Alfreda, jako też nie byli pewni, czy imię Alfred było prawdziwem jego imieniem. Ogólnie tylko wiadomem było, że gdy pani Champernowne przed dwudziestu laty przyjechała do Southernstowe i nabyła zrujnowany już prawie interes, który wkrótce przeistoczyła w magazyn pierwszej klasy, pan Alfred przyjechał wraz z nią i od tej chwili stał się jej nieodłącznym towarzyszem.

Hackdale przystanął w pobliżu bramy Ashenhurst House, gdy nagle, tuż przed sobą, ujrzał jakiegoś mężczyznę. W świetle ulicznej latarni rozpoznał twarz nieznajomego i przekonał się, że był nim James Bartlett, osobistość dobrze znana w całem mieście. Bartlett był niegdyś człowiekiem majętnym, lecz fatalny nałóg ustawicznej gry w karty i pijaństwa stoczył go w przepaść nędzy. Mimo ciężkich warunków życia, Bartlett nie tracił nigdy dobrego humoru, to też i teraz, dojrzawszy Johna Hackdale, uśmiechnął się wesoło.

— Hallo, panie Hackdale—zawołał przyjaźnie.

— Znowu jakaś obława, co? Widzę, że pan lepiej spełnia swe obowiązki, niż wszyscy policjanci w naszem mieście. Panie Hackdale, czy to prawda, że ten jegomość zniknął z hotelu Chancellor? Czy to możliwe? Może i ja mógłbym coś o tem powiedzieć.

Hackdale nie traciłby ani chwili czasu na rozmowy z Bartlettem, lecz słysząc te słowa, przystanął nagle pod latarnią i gwizdnął na psa, który odbiegł już kilka kroków naprzód.

— Cóż pan mógłby powiedzieć? — zapytał z odcieniem ironji. (D. c. n.)

Okładkę projektował Leon Chejfec

RAID

Dokończenie ze str. 205.

— I to się nazywa raid turystyczny?! — oburzała się już w hotelu „Pod Orłem". — Pan doprawdy nie ma sumienia...

Gordon uśmiechnął się, jakby to było nie do niego.

Poszli do swoich numerów i umówili się, że za pół godziny zejdą na dół, aby wspólnie zjeść kolację.

Ale, kiedy pani Rita spojrzała w lustro, odeszła jej *wogóle* ochota do życia. Pod szarą warstwą kurzu twarz jej była czerwona, schlastana wiatrem i spalona słońcem.

— Rozchoruję się — postanowiła ze łzami w oczach.

Na dół nie zeszła wcale. Kazała sobie podać kolację do numeru, poczem wpadła w rozpacz z powodu braku szlafroczka (nie chciał się zmieścić do maleńkiego neseseru, jaki Gordon pozwolił jej wziąć ze sobą, bezlitośnie pozostawiając w domu zapakowaną walizkę). Okazało się, że pończoszki, rękawiczki, bielizna na zmianę i t. d. też zostały w Warszawie. Nawet chustki do nosa. Nawet papierosy.

Nie przyszło jej na myśl z początku, że może drobne braki uzupełnić na miejscu. Zresztą nie chciało jej się ruszyć. Była zupełnie przygnębiona, zwłaszcza brakiem świeżej bielizny: koszula nosiła wyraźne ślady kurzu, nabitego przez sweter i osiadłego na całem ciele.

Zamówiła sobie kąpiel i — usnęła na kanapie, na pół rozebrana.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz Gordon zapukał do jej pokoju o ósmej.

Nie spała już. Ale była zła na niego i zdecydowanie negatywna.

— Jakto, więc nawet mu do głowy nie przyszło wczoraj dowiedzieć się, czy żyję? Zapewne — motocykl jest ważniejszy.

I: —

— Jestem chora. Dalej nie jadę.

Zaniepokoił się (wziął to na serjo).

— Jezus, Marja! co to będzie?

— Weźmie pan sobie kogoś innego. Przecież raid...

— Pal djabli raid. Co będzie z panią? Idę po doktora.

Znów ją wziął. Wyobrażała sobie, że nie łatwo mu było tak — „pal djabli raid" — dla jej kaprysów, czy nawet choroby. Ale jeszcze chciała pochorować.

— Dam sobie radę sama. Niech pan jedzie z kimkolwiek (Czarnocka i tak jest w Warszawie — pomyślała).

— Ach, *taak* — powiedział sobie. — Nie ruszę się bez pani — oświadczył głośno. (Regulamin raidu wykluczał możliwość zmiany pasażerki).

Jeszcze się dąsała. Brudna koszulka psuła jej humor; ukłuła się w palec przy cerowaniu pończochy; papierosy Jerzego były za grube i za mocne.

Wyruszyli z godzinnem opóźnieniem. Ale droga była śliczna, szosa jak stół i pogoda bajeczna.

W Kościerzynie zjedli śniadanie i zapuścili się w leśne cieniste drogi, opadające stromo w dół, to znów wspinające się pod górę, kręte, to znów proste, jak strzelił, wypływające na poszarzałe październikowe pola, aby zaraz znów zaszyć się w kolorowym gąszczu liściastych drzew.

Aż zdaleka, niby granatowa ściana, szczelnie przylegająca do horyzontu, wyjrzało ku nim morze.

Myślała, że to dosyć na ten dzień. (Zapas pogody i filozoficznego spokoju też może się wyczerpać). Ale musieli dotrzeć do Grudziądza...

— To tylko 180 kilometrów — pocieszał ją Gordon.

Zaraz za Gdańskiem natknęli się na jednego z zawodników, napróżno usiłującego zapuścić silnik, u skraju szosy.

Gordon zatrzymał swego „Efena".

— Mogę panu w czem pomóc?

— Można — mruknął tamten.

Gordon się przedstawił.

— Cypek jestem — odpowiedział przez ramię lakoniczny motocyklista.

Zaczęli we dwóch próbować. Panie patrzyły na siebie nieufnie z wózków. Pasażerka pana Cypka nie była pociągająca. Miała płaski nos i okropnego zeza.

— Kiedy taka płacze, to jej chyba łzy na krzyż ciekną — powiedział później Gordon.

Pan Cypek był zdenerwowany.

— *Coś* musi być, psia... — stwierdził.

— Może karburator? — zapytała zezowata piękność.

— Ciocia twoja karburator! — burknął.

— Okropność — pomyślała pani Rita z niesmakiem. — Ładne towarzystwo.

Ale pasażerka pana Cypka nie obraziła się wcale. Po dziesięciu minutach bezowocnych zabiegów obu mężczyzn, podeszła do maszyny i zdjęła wieczko gaśnika. Istotnie, przyczyną defektu było zacięcie się iglicy karburatora. I pan Cypek odrazu nabrał humoru. Nawet przedstawił się pani Ricie i pocałował ją w rękawiczkę.

Pojechali.

— Ciekawam, czy taki Cypek pomógłby panu? — powiedziała z przekąsem Rita.

— Zapewne — odrzekł z uśmiechem. — Ale panu Cypkowi głównie pomogła jego pasażerka.

Tego już było nadto.

— Szkoda, że pan z nią nie jedzie.

I — milczenie prawie przez całą resztę drogi.

Przed samym Grudziądzem, może ze dwa kilometry od miasta, nawaliła przednia kicha. Gordon zabrał się do roboty przy świetle latarni, ale zabrakło mu łatek... Musieli widocznie zgubić je gdzieś po drodze.

Pani Rita była głodna. Zrobiło się zimno i jakoś smutno.

Czekali dłuższą chwilę na pomoc kogoś z przejezdnych. Jak na złość nikt nie jechał.

— Może pójdziemy? — zaproponował Jerzy.

— To nie daleko.

Spojrzała na niego wzrokiem obrażonej królowej.

W tej chwili zdaleka legło na szosie białe światło reflektora. Gnał jakiś motocykl.

Ale nie zatrzymał się wcale mimo rozpaczliwych znaków Gordona.

Pani Rita tryumfowała:

— Cóż to za gentleman!

Ale tryumf był przedwczesny. „Gentleman" nie nazywał się ani Cypek, ani Solonka, ani Pietruszka. Nie był ani monterem, ani fryzjerem, ani człowiekiem z „niższej sfery". Był natomiast hrabią. Tylko, że mu się bardzo śpieszyło: startował jako drugi, i miał masę karnych punktów...

— — — — — — — — — — — — — — —

Trzeciego dnia było okropnie: do Torunia zimno, a od Torunia deszcz.

Gordon dowiedział się poufnie, że jest na siódmem miejscu, jak dotąd. Ale w końcu i on stracił ochotę do wszelkich wysiłków.

— Od Sochaczewa będzie finish — powiedział do pani Rity. — Ale nie chcę pani męczyć. Pojedziemy wolno.

Wbrew jednak temu, czego oczekiwał, zaprotestowała. Zaraz po pierwszej maszynie, która minęła ich, chlapiąc błotem na wszystkie strony.

— Jakto, teraz, po tem wszystkiem?! Czyż po to łykała kilogramami kurz, nie zmieniała bielizny, nie dosypiała, trzęsła się w ciągu dwóch dni po dziesięć godzin na dobę, aby teraz przybyć na którems tam miejscu?!

— Pan mnie chce skompromitować — oświadczyła. — Mnie i siebie. Niestety, nie umiem prowadzić tej obrzydliwej maszyny. Siadłabym na pańskiem miejscu i pokazałabym panu, jak trzeba jechać na tym waszym finishu, aby zdobyć pierwszą nagrodę. Gazu!

Nie, tego się nie spodziewał...

Lało coraz mocniej. Siekło po twarzy. Ale pani Rita ani razu nie poskarżyła się na pogodę. Błoto pryskało czasem na jej ubranie, na ręce i twarz.

— Prędzej! — mówiła, jeżeli zwalniał.

Zatkał im się filtr od benzyny. Zjechali na bok i — o dziwo! — pani Rita podawała Gordonowi narzędzia, pomagając mu, jak umiała. To nic, że nie umiała wcale: chciała, nareszcie chciała mu pomóc.

Obok nich waliły jeden za drugim: Roudge, Indjany, B. S. A., Harleye, Maybachy, Vickersy...

— A F. N'y? — zapytała.

— Cypek jedzie na F. N'ie.

— Musimy go wziąć — oświadczyła.

Od Błonia zaczęli mijać.

Pani Rita siedziała, jak przyrosła do wózka, choć ciskało nimi po śliskiej szosie, jak piłką. Jeżeli co mówiła, to: *gazu!* — gdy jej się zdawało, że ktoś dopędza. Na wirażach, wiedziona intuicją, wychylała się do wewnątrz zataczanej krzywizny, choć bryzgi błota leciały wtedy prosto w twarz.

Chciała być pierwsza.

Kiedy Gordon to zrozumiał, kilometry zaczęły nawijać się na koła maszyny, jak szalone.

Już widać było Warszawę w chmurze dalekich dymów, gdy wyskoczyli na czwarte, a potem na trzecie miejsce.

Na prostej szosie, rozciągającej się między drzewami niby ogromny miech ręcznej harmonji, pruł daleko przed nimi, skurczony, niby zwierz w skoku, motocykl.

— Teraz! — zawołała pani Rita.

Gnali na pełnym gazie. Zbliżali się. Jeszcze 200, jeszcze 100, jeszcze 50 metrów. Na samym horyzoncie zsuwał się w lewo zakręt...

— To nic! — zawołała, przeczuwając wahanie Jerzego. — Gazu!

Dopadli, minęli, przelecieli, jak pocisk.

Weszli na wiraż. Wyniosło maszynę za środek szosy, na zewnętrzny skraj, pod pryzmy. Ale wyrwali się jakoś. I już parli co sił dalej: tuż blizko, za zakrętem, stał Cypek z zezowatą, montując gumy. Pani Rita zobaczyła, jak kiwa ręką, aby nie zatrzymywali się przy nich.

Nie mieli wcale takiego obowiązku teraz: to był finish!

— — — — — — — — — — — — — — —

Czarni od błota, przemoczeni do nitki, wpadli na metę i pani Rita nie czuła się ani trochę skrępowana swoim wyglądem, choć było masę znajomych.

A kiedy nadjechał pan Cypek (z narzeczoną — jak się okazało), z miłym uśmiechem przyjęła jego powinszowania i — ku zgrozie panny Nosowiczówny — przedstawiła go Stefie Czarnockiej.

— Nasz najgroźniejszy współzawodnik — powiedziała swobodnie. — Tylko pech nie pozwolił mu wygrać.

— Pech — mięta — rzekł pan Cypek z lekceważeniem. — Gront dobra pasażerka — dodał z kurtuazją.

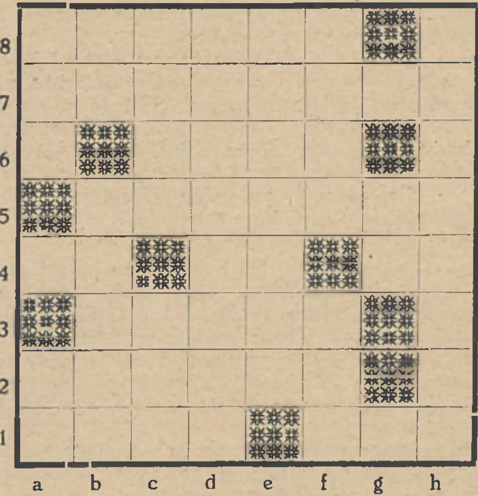
Z ruchu wydawniczego

Ukazała się książka Henryka Adlera-Neszera p. t. „Arjela i Jubal" (Nakładem wydawnictwa „Nowy Wschód"). Jest to zbiór palestyńskich opowieści romantycznych. Autor przedstawia tu nowe formy życia religijnego (gminy neo-chrześcijańskie), socjalnego i erotycznego, tworzącej się społeczności hebrajskiej w Palestynie. Czytelnik polski znajdzie w książce tej motywy nowe, w literaturze polskiej niewykorzystane. Ujmie go ta nieznana egzotyka, zajmą przeżycia kulturalnego europejczyka w zetknięciu ze Wschodem.

Autor pracuje obecnie nad powieścią „Lew Arjeli", której poszczególne fragmenty są tematycznie związane z książką „Arjela i Jubal".

Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA.



Znaczenie słów:

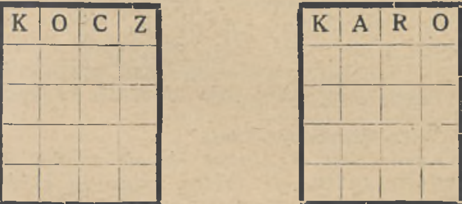
Wyrazy pionowe

a8 Durnie
b8 Bożek
c8 Imię żydowskie
d8 Inaczej oszustwo, krętactwo
e8 Pisarz włoski
f8 Wspak książka (ang.)
h8 Zakonnicy tureccy
b5 Karmicielka (wspak)
g5 Zaimek osobowy (wspak l. mn.)
c3 Stary (ang.)
f3 Zaimek osobowy
a2 Nazwa litery

Wyrazy poziome

a8 Mały kram
a7 Przyrządy potrzebne w razie niepogody
c6 Imię germańskie
b5 Wyróżniona z pośród innych (wspak)
a4 Jezioro w Rosji
g4 Zaimek osobowy (celownik)
b3 Przygrywka
a2 Reformator religji.
a1 Zabieg przeciwgruźliczny (wspak)

METAMORFOZY



Należy zmienić wszystkie litery danego słowa na inne po jednej tak, aby przy zmianie każdej litery tworzyło się nowe słowo. Patrz poprzednie N-ry „7 Dni".

Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki oraz metamorfoz z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 18 marca b. r.

Nagrody

Za rozwiązanie zadań z N-ru 6 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

25 zł.

p. Emilja Kostyrkówna, Jarosław, ul. Parkowa 194.

Książki beletrystyczne: pp. S. Płóciennik, Warszawa; Marja Liwska, Warszawa.

Trafnego rozwiązania zadań z Nr. 5 nikt nie nadesłał. Przedłużamy termin nadsyłania rozwiązań do dn. 12 marca b. r.

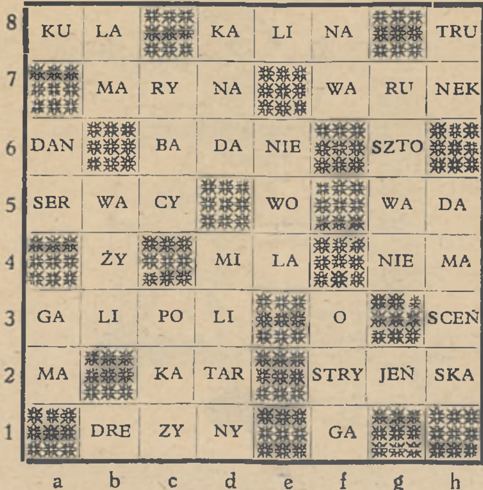


Nowomianowany poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Rzeszy Niemieckiej w Warszawie, dr. Hans Adolf von Moltke.



Przed paru dniami zmarł poseł Herman Diamand z P. P. S. C. K. W.

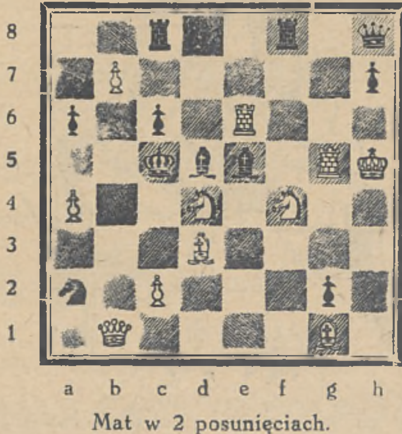
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z Nr. 7



	a	b	c	d	e	f	g	h
8	KU	LA	■	KA	LI	NA	■	TRU
7	■	MA	RY	NA	■	WA	RU	NEK
6	DAN	■	BA	DA	NIE	■	SZTO	■
5	SER	WA	CY	■	WO	■	WA	DA
4	■	ŻY	■	MI	LA	■	NIE	MA
3	GA	LI	PO	LI	■	O	■	SCEŃ
2	MA	■	KA	TAR	■	STRY	JEŃ	SKA
1	■	DRE	ZY	NY	■	GA	■	■

SZACHY

J. J. Rietveld
Holandja
Świat Szachowy, 1931.

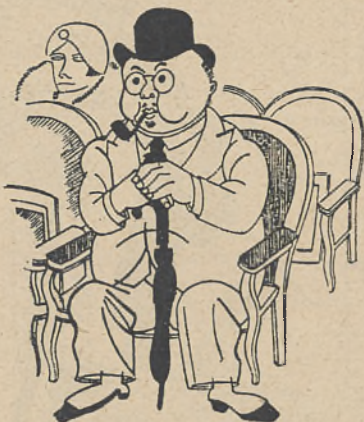


Mat w 2 posunięciach.

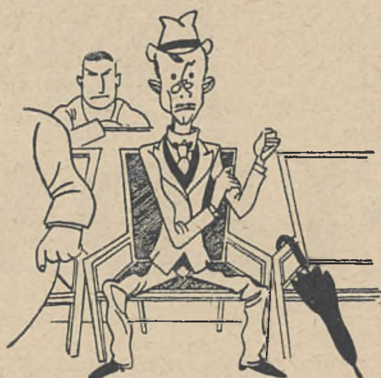
HUMOR

Kto lubi jakie filmy...

(Rire)



Zwolennik policyjnych sensacyj.



Amator sportu.



Tylko podróże!

WILLY REESE.

Hochstaplerzy

Baron von Veltheim

II.

Baron przenosi się do Melbourne, gdzie popełnia kradzież, która mu przyniosła sławę wśród plemienia międzynarodowych hochstaplerów.

Pewnego razu wyczytał w jednej z gazet, że w Melbourne mieszka bogaty fabrykant papieru, niejaki Lincoln Crock, który chorował na szczególną manję. Mianowicie poświęcił całe swoje życie na wynalezienie sposobu zamiany, drogą chemiczną, zwyczajnego papieru gazetowego, na wysokowartościowe gatunki. Na tę swoją idée fixe wydał już moc pieniędzy, która jednak nie posunęła całej sprawy ani o krok naprzód. Veltheim postanowił dopomóc biednemu fabrykantowi w jego zaadaniach.

I oto pewnego dnia, do zacisznego gabinetu pracy Lincolna Crocka zapukał lokaj, przynosząc mu na tacy kartę wizytową:

WILLIAM GOLDSMITH

wynalazca

Po chwili w gabinecie pana Lincolna zjawił się elegancko ubrany jegomość, z monoklem w oku. Uprzejmie pozdrowiwszy gospodarza, usiadł na wskazanym przez Crocka fotelu, i wyciągnąwszy z kieszeni gazetę, spytał:

— Czy może mi pan łaskawie powiedzieć, na jakim papierze jest ta gazeta drukowana?

— Ależ oczywiście, że na zwyczajnym, gazetowym, — odparł zdziwiony pan Crock, poczem, przyjrzawszy się zbliska gazecie, dodał. — i to na jednym z najgorszych gatunków papieru.

— Otóż ja jestem w stanie przerobić ten papier na najlepszy gatunek papieru do pisania.

— Nie, panie, to jest rzeczą zupełnie niemożliwą. Znam się na tem dobrze, gdyż sam posiadam fabrykę papieru i nieraz usiłowałem zrobić tego rodzaju transformacje, niestety, jednak bezskutecznie.

— Bardzo możliwe, że usiłowania pańskie były bezowocne, — zauważył uprzejmie przybysz. Ja jednak wynalazłem sposób, a właściwie pewien preparat chemiczny, dzięki któremu z tego oto bezwartościowego papieru potrafię zrobić wspaniały japoński welin. Najdroższy, jaki się znajduje w handlu.

— Panie! — wykrzyknął Crock — jeżeli słowa pańskie nie mijają się z prawdą, to możesz wkrótce stać się miljonerem.

— Drogi panie, — odparł Goldsmith, — zdaję sobie z tego najzupełniej sprawę. Jednakże nie pragnę sam eksploatować swego wynalazku. Nie leży bowiem w mojej naturze kierowanie przedsiębiorstwami fabrycznemi. Lubię ciszę i spokój swego prywatnego home'u. Zwróciłem się do pana z propozycją kupienia przez pana mego wynalazku.

— Z ochotą na to przystaję. Pragnąłbym jednak się przekonać, czy wynalazek ten nie jest przypadkiem bluffem. Wybaczy pan mi te zbyt ostre może słowa, ale ostatnio nagabywało mnie tylu wydrwigroszów, że, doprawdy, trudno komuś wierzyć tylko na słowo. Czy mógłbym się dowiedzieć, na czem polega pańska metoda?

— Chętnie panu zademonstruję mój wynalazek, oczywiście z tem zastrzeżeniem, że o ile nie dojdziemy do porozumienia, cała nasza rozmowa pozostanie między nami.

— Przyjmuję wszystkie warunki, — wykrzyknął Croks, z niecierpliwością oczekując eksperymentu.

Goldsmidt rozejrzał się po gabinecie. Oczy jego zatrzymały się na dużej kasie ogniotrwałej, zajmującej cały róg pokoju.

— Widzę u pana kasę pancerną. Będzie ona nam potrzebna do doświadczenia. Bo widzi pan, ja również jestem ostrożny i dlatego muszę cały proces chemiczny ukryć przed panem, zanim nie spiszemy kontraktu notarjalnego. Czy posiada pan drugi komplet kluczy od tej szafy?

— Nie. Mam tylko jeden. Drugi jest w posiadaniu fabryki kas pancernych, w Sidnej, gdzie nabyłem moją szafę.

— To doskonale. Otóż może pan poleci przynieść jakieś naczynie drewniane, w którem zmieści się 4 litry wody. W naczynie to wleję swój preparat, włożę papier, poczem zamkniemy kasę, od której zabiorę klucze. Proces chemiczny trwa 24 godziny. Po upływie tego czasu przyjdę do pana i otworzę kasę. Ażeby był pan pewien nienaruszalności swej kasy, zaproponuję panu przenocowanie przez niego w tym pokoju. Jest to minimum niewygody, które warto ponieść dla zdobycia miljonów.

— Zgoda, — wykrzyknął Crock, — w tej chwili przyniosę naczynie z wodą.

Po chwili do dużej wanienki z wodą Goldsmidt wlał z jakiejś flaszeczki sto kropli bezbarwnego płynu, zanurzył w to gazetę, poczem spytał:

— Czy życzy pan sobie, by otrzymany papier pozostał biały, czy też przybrał jakiś kolor?

— Nie, niech pozostanie biały!... Albo... wie pan co... czy może go pan zabarwić na liljowo? Jest to obecnie najmodniejszy kolor...

— Proszę bardzo, jest to dla mnie prawdziwą fraszką — odparł wynalazca, poczem wydobył z kieszeni jakieś etui, podobne do papierośnicy, w którem leżało szereg epruwetek z barwnikami. Wyjął odpowiednią, stłukł na krawędzi wanienki i wlał całą jej zawartość do wody. Następnie wspólnemi siłami wstawili, Crock z Goldsmidtem, wanienkę do kasy, zamknęli ją, poczem wynalazca schował klucze do kieszeni, i obiecując przybyć punktualnie po upływie 24 godzin, opuścił gabinet fabrykanta.

Zrozumiałą zupełnie rzeczą było, że szanowny Lincoln Crock nie mógł zmrużyć przez całą noc oka. Jedynie tylko nad ranem zapadł w krótki, nerwowy sen, który nie trwał dłużej, nad godzinę. Cały następny dzień przebył Crock w podnieceniu nerwowem. Gdy się wreszcie zbliżyła godzina 5-ta popołudniu, czas, w którym miał ujrzeć rezultat eksperymentu, nie umiał sobie poprostu znaleźć miejsca. Jednakże Goldschmidt spóźnił się. Minęła 5-ta, później piąta i pół, 6-ta, 6-ta i pół, wreszcie 7-ma. O godzinie wpół do ósmej przyniesiono Crock'owi list. Treść jego brzmiała następująco:

Wielce Szanowny Panie!

Prawdą jest, że naiwnych nie trzeba siać. Sami się rodzą. Do takich naiwnych bubków zaliczam również i pana. Uwierzył pan w me zdolności wynalazcze i zdało się panu, że przy mej pomocy zdobędziesz wielki majątek. Zawód jest częstą rzeczą w życiu, nic też dziwnego, że go nie uniknąłeś. Nie byłem i nie jestem żadnym wynalazcą. Ot, poprostu, potrzeba mi gwałtownie pieniędzy, które sobie wziąłem z pańskiej kasy. Przecież pan mi sam wręczył od niej klucze. Skorzystałem z pańskiego snu, nad



Czy nie przeszkadza pani dźwiękowiec?



Sentymentu jaknajwięcej...



Miłości, miłości!...

ranem i podniosłem z kasy 40.000 dolarów. Niech mi pan wierzy, że bardzo mi się przyda- dzą.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Goldschmidt, wynalazca.

Mister Crock był wściekły. Cudem nie uległ anewryzmowi serca. Natychmiast zawiadomił policję, która rozpoczęła śledztwo. Narazie nie można było dostać się do kasy, ponieważ duplikat kluczy należało sprowadzić z fabryki w Sidney, co w najlepszym wypadku, musiało potrwać najmniej 3 dni.

Na trzeci dzień pan Crock otrzymał drugi list od Goldschmidta.

Najmilszy przyjacielu!

Zawsze mi mówiono, że jestem niezłym psychologiem. Podobno urodziłem się pod szczęśliwą konstelacją niebieską i dlatego każde moje zamierzenie jest do tej pory pomyślnie zakończone. Cały mój kawał z pańską kasą oparłem również na psychologji. Wiedziałem dobrze, że na mój pierwszy list zareaguje pan w sposób, naogół w analogicznych wypadkach praktykowany. To znaczy zaalarmuje pan policję, zatelegrafuje po nowe klucze do fabryki i zgnębiony, zgryziony stratą pieniędzy, powędruje pan do domu, by tam spędzać noce w gorączkowych i makabrycznych snach. Wiem doskonale, że nie kazał pan już pilnować pustej kasy, bo któż by stróżował przy próżnym tresorze. Na to właśnie liczyłem. Bo niech pan sobie wyobrazi, drogi przyjacielu, że pierwszej nocy, podczas której warował pan przy kasie, pieniędzy nie wciąłem. Zdawałem sobie z tego sprawę, że sen pański będzie lekki, a może pan nawet wogóle się nie zdrzemnie. I dlatego napisałem panu pierwszy list, który wypędził pana z pańskiego biura, do prywatnego mieszkania.

Wtedy miałem drogę otwartą. Drugiej nocy spokojnie opróżniłem pańską kasę. Nie zawiodłem się na panu. Będzie pan dla mnie zawsze najmilszem wspomnieniem. Daję panu tylko jedną radę na przyszłość. Nie wierz pan w żadne wynalazki.

Życzliwy

Goldschmidt, wynalazca.

Wśród pism i książek

Emil Ludwig. „Wilhelm II". Przekład autor. J. Zylberowej. Wyd. Kadra. Warszawa, 1931.

Każdy znawca nowoczesnej literatury spotykał się niejednokrotnie z nazwiskiem Emila Ludwiga. Porównują go z Carlyle'em, lesz słuszniej byłoby postawić go w jednym szeregu z Grzegorzem Brandesem, którego zresztą pod wieloma względami przypomina. Jest poważny i głęboki, a przytem zawsze interesujący, pełen rozumu, często dowcipny — i potrafi jednem, szczęśliwie odkrytem słowem jaśniej określić ludzi i sytuację, aniżeli większość pisarzy historycznych w długich i nudnych rozdziałach.

Z pośród wielu monografij o Wilhelmie II, dzieło Emila Ludwiga jest nietylko jednem z najlepszych, najbardziej pouczających studjów o państwie niemieckiem i jego ostatnim cesarzu, ale również najbardziej wartościowem pod względem artystycznym.

Autor naszkicował postać kaizera na zasadzie pamiętników i listów prywatnych najbliższego otoczenia monarchy i jego własnych wynurzeń. Całość opiera się prawie wyłącznie na „wielkiej" polityce międzynarodowej i odkrywa przed oczami czytelnika jej kręte drogi z niezwykłą prostotą i realizmem. Dowiadujemy się ze zdumieniem, jak oto od małych w swych celach intryg dworaków i dyplomatów mocarstw zależy los miljonów ludzi i wielu narodów. Poznajemy warunki, w których zawierano były nieprawdopodobne sojusze i walki dygnitarzy państwowych, oparte częstokroć na przyjaźniach i antypatjach, zboczonych na tle seksualnem ministrów i kanclerzy. Pomyśleć tylko, że od takich ludzi mógł zależeć los Europy!....

Autor przedstawia nam Wilhelma II-go, jako zniewieściałego, nawpół poczytalnego, fizycznie i umysłowo zdegenerowanego osobnika. Urodzony w historycznej, drewnianej kołysce Hohenzollernów, człowiek ten był przeznaczony na decydowanie o losach 60 miljonów Niemców! Mimo pozornego objektywizmu, z jakim Ludwig potraktował Wilhelma, próbuje jednak zrzucić odpowiedzialność za wojnę z bark „biednego, słabego człowieka" na ludzi, którzy go otaczali i na polityczne i wojskowe sfery Wiednia i Petersburga. Z wyraźną sympatją podkreśla natomiast dobrą wolę, w celu zapobieżenia wojnie światowej, rzekomo stale okazywaną przez polityków angielskich, którzy potrafili pogodzić interesy Wielkiej Brytanji z wytycznemi polityki niemieckiej, gdyby nie to, że... Niemcy budowali flotę wojenną. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ta część sugestji Ludwiga, przeznaczona jest dla politycznego użytku Niemiec dzisiejszych. Książka ta powinna znaleźć się w ręku każdego człowieka, interesującego się życiem publicznem, gdyż zawiera wiele cennego materjału historycznego, z epoki bliskiej obecnemu pokoleniu i odsłania kulisy spraw, które dotychczas ciążą na zagadnieniu pokoju europejskiego i w znacznym stopniu dotyczą naszej polityki zagranicznej.

Benito Mussolini. — Pamiętnik z czasów wojny. — Przekł. Józefa Birkenmajera. — Wyd. Polskie R. Wegnera.

Niezwykła indywidualność dyktatora i wskrzesiciela współczesnej Italji budzi powszechne zainteresowanie. Tem bardziej więc interesującym pamiętnik wojenny „Il duce" — najpopularniejszego już wówczas dziennikarza i płomiennego przewódcy ludu, który służąc, jako prosty szeregowiec nie mógł oczywiście odegrać roli decydującej na froncie, mimo iż wyniku wojny zależało uwieńczenie jego dotychczasowej działalności. Bo jak słusznie zaznaczono w posłowiu — to, „co zdarzyło się później, mogło się dokonać tylko na podstawie tych czynów i usiłowań. Osobista odwaga i dzielność dziś jeszcze są niezbędnym warunkiem dla tego, kto chce torować sobie drogę do stanowiska Wodza Narodu i do stanowienia o jego losach". I gdyby nie to głębokie przeświadczenie i chęć zapoznania się z przeżyciami jednego z największych meżów współczesnych — notatnik może nie byłby ciekawy, gdyż wiele się nie różni od setek pamiętników, skreślonych przez byłych uczestników wojny światowej.

Zwrócić należy jeszcze uwagę na ciekawy sposób traktowania najmniejszej znajomości, zawartej przez autora w czasie służby w szeregach — z którego przebija się gorąca miłość do każdego zakątka ziemi italskiej. — Oto bowiem, mówiąc o towarzyszach broni, Mussolini nie omieszka zaznaczyć skąd pochodzi — czy z Rzymu, czy z Genui lub Medjolanu, czy też z zapadłej wioski. Bo słusznie mówi francuskie przysłowie: „Les petites patries font aimer la Grande"...

Notatnik wojenny Mussoliniego ujęty jest w żywą i plastyczną forme, tematy najprostsze traktowane są z żołnierską swadą. Książka ta zainteresuje z pewnością najszersze rzesze Czytelników.

⁂

W powodzi pojawiających się czasopism, kończących zazwyczaj dość szybko swój żywot motyli, na szczególną uwagę zasługuje nieoficjalny, jak się zdaje, organ Senatu, tygodnik „Życie Polskie". Wydawca jego, sen. Ludwik Józef Evert, który zaprezentował się jednocześnie, jako niepospolicie uzdolniony redaktor naczelny, potrafił stworzyć ze swego pisma typ niemal nowy, typ pisma poważnego, a nie ciężkiego zarazem, typ jednocześnie barwny, a unikający wszelkiej sensacji.

Koło „Życia Polskiego" zgrupowało się poważne grono publicystów, że wymienimy tylko prof. posła W. Makowskiego, prof. posła A. Krzyżanowskiego, senatora Błędowskiego, inż. Wierzejskiego, P. Hulka-Laskowskiego, B. Pikusa, Bregmana, W. L. Everta, no i samego senatora L. J. Everta, który zdaje się debiutuje we własnym organie. Nie bawiąc się w komplementy, podkreślamy odrazu, że debiut ten wypadł wspaniale, że artykuły wstępne „Życia Polskiego" odznaczają się i formą i treścią. Z autorów cudzoziemskich pisują w tym ciekawym tygodniku m. in. pp. Menotti-Corvi, i znakomity publicysta francuski J. J. de Cardegnac, którego feljeton „Polska widziana z Paryża", nieco gorzki w treści, ciekawy jest i iście francuski w ujęciu.

Bogaty dział własnych korespondencyj zagranicznych (pp. Mergel, Bregman, Kukucz i in.); uwzględnianie życia mniejszości polskich na Litwie i w Prusach; szczególnie pieczołowicie prowadzony dział gospodarczy, oto jeszcze jedne strony dodatnie tygodnika.

Zaznaczamy wreszcie inowację, wprowadzoną przez „Życie Polskie" w postaci stałych feljetonów pod tytułem „Sygnały", ujmujących interesująco bieżący ruch wydawniczy.

Do ważniejszych artykułów, które zauważyliśmy w ostatnich numerach, należą: „Polska polityka międzynarodowa" — inż. W. K. Wierzejskiego; „Doktryna kryzysu" — W. L. Everta; „Przebudowa Rosji Sowieckiej" — Vira; „Przeglądy polityki zagranicznej" — J. R.; „Historjozofja stosowana" — P. Hulki-Laskowskiego; „Propaganda samorządu" — sen. Błędowskiego, i wreszcie cykl artykułów pod tytułem „Oczy sfinksa", zapewne nie skończony jeszcze, na który składają się ustępy nowej książki W. L. Everta „Europa łaknie władzy", oraz rozpoczęta kampanja w sprawie szkolnictwa.

Sądząc z dotychczasowych numerów, „Życie Polskie" ma powodzenie zapewnione.

⁂

Prezydjum oraz Wydział Kół Prawniczych Ogólnopolskiego Związku Akademickich Kół Naukowych przygotowuje wielkie wydawnictwo p.n. „Rocznik Prawa i Ekonomji". Wydawcy, mając na celu dalsze doskonalenie, dziś już bardzo żywej, pracy naukowej młodych prawników, pragną stworzyć w ten sposób przegląd rocznego dorobku młodej myśli prawniczej i ekonomicznej wszystkich środowisk akademickich.

Zakres „Rocznika" (razem ok. 250 stron) ograniczono do dziedzin prawa publicznego oraz ekonomji i skarbowości. Protektorat nad wydawnictwem objął p. Dziekan Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Bohdan Wasiutyński.

Cena normalna dzieła w przedpłacie wynosi 7 zł. 50 gr., ulgowa (dla pp. aplikantów sądowych i wszystkich studentów szkół wyższych) 5 złotych. Sumy powyższe można wpłacać do P. K. O. na konto Nr. 24983.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł, półrocznie 15.50 zł, rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200. ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.